

**W sprawie
narkomanii - str. 4**

K. Drozd
W. Wawrzonek

**Po tragedii
w białostockim
ZOO - str. 5**

Artur Borkowski

**Rozmowa
z polskim
multimilionerem
- str. 12**

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamien



NR 25 (792)

4 - 17 grudnia 1983

CENA 10 ZŁ

Polskość nad Sekwana

Wiesław Śladkowski

W E wrześniu byłem we Francji, w głównych skupiskach polonijnych na terenie Nordu i Lotaryngii. Wycieczka historyka w teraźniejszość, gdy pragnie swe badania poświęcić przeszłości, doprowadzić do dziś jest konieczna. Dla mnie stała się możliwa dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Od polonijnej firmy Inter-Fragrances otrzymałem jako nagrodę specjalną na ostatnim konkursie im. Floriana Znanieckiego bilet lotniczy do Paryża i z powrotem. Stypendium uzyskałem natomiast od patronującego zyczeniu badaniom polonijnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Mogłem więc spojrzeć zajmując się przeszłością Polonii francuskiej, także w jej współczesne oblicze.

Polaków znad Sekwany portret własny mienią się wieloma barwami. Jest to społeczność ogromnie zróżnicowana i złożona o głębokich podziałach pokoleniowo-społecznych i politycznych, w niejednakowym stopniu demonstrująca swój polski rodowód. Charakterystyczne dla niej jest, że w uję-

ciu dynamicznym. Przebiegające w jej obrębie liczne i głębokie procesy i przeobrażenia mają swój początek w latach poprzednich. Dlatego też krótka rekapitulacja dziejów nadsekwaniańskiej Polonii, to nie tylko zawodowy nawyk piszącego, lecz zabieg niezbędny dla zrozumienia współczesności.

Wychodźcy znad Wisły przybyli do Francji w trzech zasadniczych prąpływach. Pierwszy stanowiła XIX-wieczna emigracja polityczna. Chociaż niezbyt liczna, dzięki dokonaniom wielkiej emigracji zapisała się dziełami Mickiewicza i Słowackiego, Chopina i Norwida w Panteonie kultury narodowej. Jej rola zakończyła się zasadniczo po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. Potomkowie XIX-wiecznych wychodźców pozostali jednak na ogół w swej drugiej ojczyźnie, pozostały też tu polskie instytucje kulturalne powołane do życia przez ich dziadów i ojców: Biblioteka Polska w Paryżu, Muzeum Adama Mickiewicza, Towarzystwo Historyczno-Literac-

Dokończenie na str. 8

Krystyna Prońko - str. 10



Fot. Serge Sachno

GALCZYŃSKI

B YŁO tak: 6 grudnia 1953 roku o godzinie 6 rano, jak zwykle, wstał do pracy Zwykły i zaczął pisać o tej porze i jest osobliwe, że tyle pięknych wierszy o księżycu powstało wczesnym rankiem. Pożyczył się jednak 6 rano, jak zwykle, wstał do pracy Zwykły i zaczął pisać o tej porze i jest osobliwe, że tyle pięknych wierszy o księżycu powstało wczesnym rankiem. Pożyczył się jednak 6 rano, jak zwykle, wstał do pracy Zwykły i zaczął pisać o tej porze i jest osobliwe, że tyle pięknych wierszy o księżycu powstało wczesnym rankiem.

zasadzie facecji, jednej z tych, w których tak gustował.

Ja, Konstanty, syn Konstantego,
zwanego w Hiszpanii mistrzem
błądzącym niespełna rozumu
pisać testament przy świecach

— żartuję w wierszu „Nocny testament” i — c dziwo nie wszystko tu jest zmyślone. Bo Hiszpanię i Ildefon-

sa (aczkolwiek to imię w przyjęciu czytelniczym tak się ustaliło) możemy wysłać między fajerkierki, ale Konstanty rzeczywiście był synem Konstantego. Najzupełniej normalnie i najdokładniej po mieszczańsku. Właśnie. Ile jego enuncjacji wyglądających na listny wymysł baraszkującego humorysty, okazało się tak najbanalniej zgodnych z rzeczywistością! Bo ten fantast ekscentryk, baron Münchhausen, był najczystszej wody realistą. Co

to jest realizm? Zgodność z rzeczywistością. A czy motyw to nie są latające listy? (wiersz „Spotkanie z matką”) Jean Cocteau w jednym ze swoich aforyzmów na temat poezji mówi: „Największymi wrogami fantazji są poeci”. Tak. Oni nie zmyślają, nie upiększają, nie zmieniają w sumie, nie fantazjują. Mówią prawdę.

Dokończenie na str. 7

z notatnika

18 XI. W galerii „Szpilek” na placu Trzech Krzyży w Warszawie otwarcie kolejnej wystawy — tym razem prezentują swe prace karykaturzyści z Monachium. Jest to rewizyta: przed kilkoma laty, bodaj w 1979 r., rysownicy „Szpilek” pokazywali swój dorobek w stolicy Bawarii. Duży udział w zorganizowaniu wystawy ma p. Jadwiga Möller, niestrudzona działaczka Niemiecko-Polskiego Towarzystwa, która zawsze bardzo serdecznie wita w Monachium gości z Polski i dzięki temu ma wielu przyjaciół nad Wisłą, zwłaszcza ze środowisk dziennikarskich. Dobrze, że w obecnej sytuacji międzynarodowej, która, wydawałoby się, nie sprzyja tego rodzaju inicjatywom, doszło do otwarcia tej wystawy. Służy ona zbliżeniu kulturalnemu obu naszych narodów, pozwala lepiej się wzajemnie zrozumieć.

Niektóre prace pokażemy w następnym numerze „Kamienia”. Karykatura zachodnoniemiecka mało jest znana w Polsce. Na wystawę przybyło kilku artystów z RFN, byli oni w naszym kraju po raz pierwszy, wśród nich znajdował się Pepsch Gottscheber, rocznik 1946. Ukończył on szkołę rzemiosła artystycznego, początkowo próbował swych sił w fotografii i drukarstwie. Jego pierwsza karykatura polityczna ukazała się w 1974 r. na łamach „Süddeutsche Zeitung”, od tego czasu zaczęła się kariera: jego prace zamieszczają również pisma szwajcarskie.

Gdy mowa o satyrze, warto zwrócić uwagę na publikację „Karuzeli” pt. „Kuszenie na karuzelę”. Ukazała się ona w Łodzi nakładem tamtejszego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. 112 autorów prac i rysunków przedstawia się czytelnikom nie po raz pierwszy, bowiem książeczka stanowi wybór utworów z 25 roczników czasopisma satyrycznego „Karuzela”, które osiąga niebagatelny nakład 500—700 tys. egzemplarzy.

Wśród autorów jest Witold Barabara z Lublina i niżej podpisany, który od czasu do czasu próbuje parać się satyrą, są też i inni znajomi, którzy publikowali swe prace w „Kamieniu”. Wśród nich zmarły niedawno Wiesław Fuglewicz, a także Jerzy Frankowski, Antoni Chodorowski, Tadeusz Chrościelewski, Jan Huszcza, Andrzej Grun, Władysław Katarzyński, Szymon Kobylński, Jerzy Wilmański...

„Kuszenie na karuzelę” ukazało się w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Niby dużo, ale i tak ta pozycja będzie do nabycia... spod lady.

22 XI. Przejrzałem w „Trybunie Ludu” materiały z XIV Plenum KC PZPR poświęconego zagadnieniom gospodarczym. Mówiono o teraźniejszości i przyszłości, o konieczności wzrostu produkcji rynkowej, o poszanowaniu zasad socjalistycznej sprawiedliwości.

Dyskusja była otwarta, mówcy nie owijali słów w bawełnę. Posłuchajmy zresztą:

— Dziś nasze służby kadrowe biorą ludzi nawet tych, których nie chcą badyżarze pod Częstochową. Główną przyczynę tego stanu rzeczy upatrują w niewspółmiernej wysokości płac w stosunku do uciążliwości i szkodliwości pracy. Musi obowiązywać zasada — za ciężką pracę proporcjonalna do tego zapłata. (Bogdan Boryś, członek KC, ślusarz — brygadzieta w Hucie im. Bieruta w Częstochowie).

— Sądźmy, że na brak społecznych efektów gospodarowania na dzień dzisiejszy wpływ mają ogromne świadczenia socjalne, które sobie zafundowaliśmy. W przemyśle województwa bielskiego aktualnie pracuje 136 tys. osób. Natomiast na rentach i emeryturach w tej chwili jest 133 tys. osób. Niemal 1:1. Spośród tych 136 tys. 50 procent stanowią pracownicy nieprodukcyjni. Zatem niewielka grupa ludzi musi wyprodukować dużo, aby starczyło dla wszystkich. (Andrzej Gduła, I sekretarz KW PZPR w Bielsku-Białym).

— Zasady reformy nadal jeszcze nie wyzwalają wszystkich rezerw gospodarczych. Preferując osiągnięcie zysku, reforma zakłada, że jest on wyrazem stanu gospodarczego, przedsiębiorstwa. W praktyce znaczny zysk można osiągnąć mimo braku oszczędnej i racjo-

nalnej gospodarki. Niektóre przedsiębiorstwa, w tym zwłaszcza tzw. monopolistyczne, mają możliwości przerzucenia owej niegospodarności na barki innych producentów lub konsumentów poprzez windowanie cen. Jest to jedna z przyczyn powstawania spirali wzrostu kosztów, cen i płac, co w konsekwencji powoduje brak równowagi na rynku. (Zbigniew Abramowicz, członek KC, nadzorca ds. bezpieczeństwa i higieny pracy w KWK „Makoszowy” w Zabrzu, woj. katowickie).

— Reglamentacja mięsa nigdy nie będzie słuszną i sprawiedliwą. Mieszkańcy dużych aglomeracji miejskich nie będą w takiej sytuacji, jak w mniejszych miastach, gdzie wykupuje się od producenta trzodę chlewną, od krewnych, po znajomości itd. Z karteek wykupują i mają jeszcze dodatkowe mięso. A więc nie będzie sprawiedliwie. Jest to jeszcze długa droga, ale trzeba robić wszystko, aby reglamentację zlikwidować. (Artur Kwiatkowski, członek KC, rolnik indywidualny we wsi Cetki, gm. Rypin, woj. wrocławskie).

— Pozytywne efekty działania mechanizmów reformy gospodarczej odczuła zarówno nasza załoga, jak i, obiektywnie biorąc, gospodarka narodowa. Za okres 10 miesięcy br. produkcja fabryki wzrosła, w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego, o 10,8 proc., a produkcja na rynek o 32,9 proc., zaś produkcja poszukiwanych samochodów Żuk o ponad 68 proc. [...] Nie udało się jednak zatrzymać spadku zatrudnienia, szczególnie w wydziałach o najcięższych warunkach pracy — w odlewni zmniejszyło się ono o 7,7 proc., a w kuźni aż o ponad 10 proc. Rodzi się pytanie: czy stać nas, aby drogie, o wysokim stopniu uzbrojenia stanowiska pracy, stały bezproduktywne z powodu wadliwego systemu wynagrodzeń? (Marian Marek, członek KC, kontroler jakości — brygadzieta w FSC w Lublinie).

— Robotnicy w rozmowach wskazują na niekorzystne zjawiska występowania niesprawiedliwości społecznej. Tworzą się w naszym kraju bieguny bogactwa i ubóstwa. Nie mogę przechodzić obojętnie obok ludzi, którzy sięgają po bogactwo na drodze niezgodnej z prawem. Powstało w naszym kraju wiele nowych instytucji kontrolnych, ale one najchętniej kontrolują przedsiębiorstwa państwowe. Łatwo bowiem uzyskać tam potrzebne informacje i stosunkowo małym nakładem pracy sporządzić protokół. Natomiast w rzemiośle, u agentów, w przedsiębiorstwach polonijnych kontrola jest trudna i na pewno nie dociera wszędzie. (Marian Kasprzycki, członek KC, ślusarz — brygadzieta w Państwowej Fabryce Wagonów „Pafawag” we Wrocławiu).

— Weszliśmy w potężną batalię polityczną, jaką jest podwyżka cen żywności. Robimy to m.in. po to, aby z budżetu państwa nie wydatkować 120 miliardów zł na dopłaty za artykuły żywnościowe, ale jednocześnie z tego samego budżetu deplacemy co najmniej drugie tyle do nierentownych przedsiębiorstw. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest doprowadzenie do bankructwa tych, których produkcję państwo uznaje za ważną. W zbankrutowanych przedsiębiorstwach rozpocznie się produkcja taka, jaka leży w interesie tych, którzy je przejmą. Nastąpi więc przesunięcie pracowników do działów gospodarki narodowej zgodnie z założeniami rządu bez potrzeby przemieszczania ludzi i związków z tym dodatkowych problemów. (Mieczysław Bednarczyk, I sekretarz KZ PZPR w Hucie „Stalowa Wola”, woj. tarnobrzskie).

— Uczestnicząc w zebraniach sprawozdawczo-wyborczych. Pojawia się tam refleksja, że reglamentację masła przywrócono w znany sposób, celowo i złośliwie. Jeśli mówilo się o arogancji władzy w poprzednim okresie, to czy nie jest to szczyt arogancji, jeśli I sekretarze komitetów wojewódzkich nie są informowani o tego typu decyzjach? Nie mówiąc już o tym, że zły to gospodarz, który nie wie w maju, co będzie w październiku. (Józef Smolark, członek KC, rolnik indywidualny we wsi Dys, gm. Niemce, woj. lubelskie).

To tylko fragmenty dyskusji. Cytując, bo odzwyczailiśmy się od czy-

Spotkania dziennikarskie SZUKAMY NOWYCH PIÓR

Nie ogłaszamy żadnego konkursu, ale stwarzamy szansę dla ludzi młodych

absolwentów wyższych uczelni, studentów i maturzystów, którzy mają umiejętność pisania, którzy obdarzeni są zmysłem obserwacji, którzy poważnie podchodzą do życia.

Uważamy, że dziennikarstwa nikogo nie można nauczyć, ale można ludziom pomóc w rozwijaniu zdolności, dyskutować nad ich tekstami, wspierać się wzajemnie. Dwie osoby zdolne, legitymujące się dyplomem szkoły wyższej, będziemy mogli przyjąć nawet na staż redakcyjny.

Najpierw musimy się jednak poznać. Z tą myślą organizujemy

spotkania dziennikarskie

Czekamy na zgłoszenia. Prosimy wysłać pod adresem redakcji list, w którym znajdą się następujące dane: imię i nazwisko, adres, wiek, wykształcenie (ewent. miejsce pracy) lub kierunek studiów (z podaniem roku) kandydata. Dalsze szczegóły dotyczące zainteresowań bądź dotychczasowych osiągnięć twórczych — mile widziane. Do listów mogą być dołączone teksty — reportaże, artykuły na aktualne tematy, felietony, ale nie wiersze lub opowiadania.

Żaden list nie pozostanie bez odpowiedzi (bezpośredniej lub na łamach „Kamienia”). Termin pierwszego spotkania ustalimy po analizie i skompletowaniu zgłoszeń, które mogą napływać z całej wschodniej Polski — od Suwałk po Sanok. Nie ukrywamy jednak, że najbardziej jesteśmy zainteresowani zgłoszeniami z Lubelszczyzny w jej dawnych granicach i z samego Lublina.

Nasz adres: Redakcja „Kamienia”, 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

tania tego rodzaju tekstów, sądząc, że są one zbyt układne i mało konkretne. Pusta gadanina należy jednak do przeszłości przynajmniej na najwyższym forum partyjnym. Przykładem może być również końcowe przemówienie generała Wojciecha Jaruzelskiego na tymże plenum.

26 XI. Wydział Dziennikarski Uniwersytetu Śląskiego, a ściślej jego energiczny szef, dr Józef Mądry, który szczerzy się tym, że przed wieloma laty debiutował w „Kamieniu”, zaprosił mnie na spotkanie ze studentami. Skorzystałem z tej okazji, aby odwiedzić Katowice, w których — wstyd się przyznać — nie byłem już od lat ponad dziesięć. Odwiedziłem redakcję nowego tygodnika „Tak i Nie”, które zastąpiło „Poglądy”. Pozazdrościłem warunków lokalowych — kilkanaście pokoi, wszystkie urządzone na „wysoki polysk”...

Handel katowicki wydał mi się bardziej dynamiczny niż lubelski. Na ulicach, mimo niezbyt sprzyjającej pogody, wiele straganów. W „Delikatesach” elastyczna polityka cenowa. Na bieżąco dokonuje się tu przecen, zwłaszcza mrożonek i kompotów, reklamując to w odpowiedni sposób. Kierownictwo ma tu dużo własnej inicjatywy.

W restauracji „Tatiana” — duży wybór potraw, wśród nich znakomity barszcz moskiewski, kulebiak z kapustą, placki ziemniaczane, a ceny w miarę dostępne.

Spotkanie ze studentami upłynęło, jak to się mówi, w przyjaznej atmosferze, aczkolwiek spodziewałem się więcej pytań. Absolwenci chyba nie będą narzekać na brak pracy, bo rynek wydawniczy jest tu bez porównania większy niż u nas.

A jednak w Katowicach nigdy nie chciałbym mieszkać. Tutejsze powietrze dało mi się we znaki. W Lublinie sami nie wiemy, co posiadamy...

28 XI. Obie Izby Kongresu USA zaaprobowaly ostateczną wersję budżetu wojakowego na rok finansowy 1984, który zamyka się rekordową sumą 249,8 mld dolarów.

Niemal jednocześnie większością głosów koalicji rządzącej CDU/CSU i FDP zachodnoniemiecki Bundestag zaaprobował instalację nowych amerykańskich rakiet średniego zasięgu w RFN. Pierwszych dziewięć Pershingów znajduje się w amerykańskiej bazie wojskowej w Mutlangen do 15 grudnia, a dalszych 99 ma być instalowanych sukcesywnie w ciągu pięciu lat. Ko-

respondent PAP, Juliusz Solecki, zwrócił uwagę na znamieny fakt. Gdyby nie „Zieloni”, którzy w swych wystąpieniach starali się wnieść nutę prawdziwego zaangażowania i niepokoju, to przypatrując się z trybuny prasowej świecącej pustkami sali obrad, można było odnieść wrażenie, iż nie chodzi tu o decyzje, które mogą na wiele lat określić dalszy rozwój sytuacji międzynarodowej, lecz o rutynową debatę nad trzeciorzędnego znaczenia ustawą, bądź spory wokół budżetu jednego z licznych resortów rządowych. Bundestag przypominał bardziej szklaną oranżerię, niż forum, na którym zapadają ustalenia o żywotnym znaczeniu dla RFN i Europy.

Francuski dziennik „Libération” słusznie zauważył: „Niemcy przejmują po raz pierwszy od 1945 r. nową odpowiedzialność nuklearną, gdyż po raz pierwszy na ich ziemi znajdują się broń atomowe, które mogą ugodzić w ZSRR...”

Jurij Andropow, przywódca ZSRR, stwierdził, że jego kraj uważa za niemożliwe uczestniczyć dalej w rokowaniach genewskich na temat ograniczenia zbrojeń jądrowych w Europie, ponieważ Waszyngton swoimi posunięciami uniemożliwił osiągnięcie porozumienia w tych rokowaniach. Kierownictwo radzieckie postanowiło uchylić moratorium na rozmieszczenie radzieckich środków jądrowych średniego zasięgu w europejskiej części ZSRR. W porozumieniu z rządami NRD i Czechosłowacji przyspieszyć się rozpoczęte jakiś czas temu przygotowania do rozmieszczenia na terytorium tych krajów rakiet operacyjno-taktycznych o zwiększonym zasięgu. Jednocześnie w rejonach oceanicznych i morzach rozciągnięte radzieckie środki jądrowe, które zwiększyłyby zagrożenie nuklearne dla Stanów Zjednoczonych odpowiednio do wzrostu zagrożenia nuklearnego dla ZSRR i jego sojuszników.

Andropow podkreślił jednocześnie, że jeśli USA i inne kraje NATO przejawia gotowość powrotu do sytuacji, jaka istniała, zanim w Europie Zachodniej poczęto rozmieszczać amerykańskie rakiet jądrowe średniego zasięgu, ZSRR będzie również gotów do uczynić.

Nie ma czego ukrywać — wkraczamy w nowy etap wyścigu zbrojeń. Świat znajduje się na równi pochyłej...

M. A. Jaworski

WODA W SZYBIE

Witold Ilczak



Fot. Jacek Mirosław

8.01.1978 r.

Ranek przychodzi niepostrzeżenie. Poziom wody na głębokości 590 m. Jeszcze mamy trochę czasu, ale jak na złość rurociąg jest nieszczelny. Woda przecieka na złączeniach jak diabeł. Silnik nie może ruszyć, bo wilgotny. Przez wiele lat pompa nie była czynna. Instalacja elektryczna też szwankuje. Ludzie pracują jak w transie. Zle się zaczął ten nowy rok. Nie lepiej było wykonać pompownię na głębokości 650 m, gdy dopływ wody był mały? Mówiłem, że czym głębiej, tym wody będzie więcej, a nie ma czym pompować z tej głębokości. Musiałaby być pompownia z pompami stacjonarnymi. Ale gdyby zdecydowano budowę pompowni, to nie dotarłoby się do węgla na II Konferencję Partijną, a tak udało się, tylko za jaką cenę? Czy to się opłacało?

W Dyrekcji KLZW dr Hajdukiewicz razem z H. Wigurą szykują kubelki z węglem dla tow. E. Gierka. Również na placu Litewskim w Lublinie stanie gablotka z pierwszym węglem z LZW. Symbol nas gubią.

Szyb S-II głębia doskonale (4 m na dobę). Ma już 637 m, a szyb S-III — 30,8 m. Zmieniono decyzję co do szybu S-IV. Cementacja jury ma być dokładna — zamiast czterech odcinków cementowanych będzie osiem. Piaski kurzakowe albu będą zastępane polskim preparatem o nazwie solakryl-M. Po zastaleniu powstaje coś w rodzaju gumy. Warunki w szybie „Samsonowicz” dają dużo do myślenia, a co będzie z szybem S-III, który przecież mroźny jest tylko do 180 m? Jak przejdziemy albu i wodonośną jurę? Lecz dość refleksji. Co tam na dole w szybie „Samsonowicz”?

9.01.1977 r.

Wodę widać już pod pomostem, a pompa nieczynna. Kubłami też nie można wydobywać wody, gdyż pomost zamyka dostęp.

Rozpoczęła się II Krajowa Konferencja PZPR. Nasz naczelny pojechał jako delegat z pierwszym węglem z LZW. Gablotka na placu Litewskim będzie czynna od jutra rano, a my w szybie walczymy.

Godzina 9. Woda na głębokości 490 m, tuż pod pomostem. Denerwujemy się, czy pompa ruszy. To nasza ostatnia nadzieja. Niby można jeszcze zbudować pompy na poziomach 320 i 150 m, ale to ostateczność i niewiele daje.

Godzina 24. Tylko 6 m do pomostu, a woda podnosi się bez zmian. O godzinie 3 dochodzi do pomostu, zaczyna zatapiać jego konstrukcję i statyw pompy do kosza ssawnego. Zdenerwowanie rośnie. Mechanicy i elektrycy z rękami na zaworach i wyłącznikach.

— Zalaczył! — krzyczy inż. Miakowski. Silnik pompy drgnął, ruszył wolno, a za chwilę przeszedł na pełne obroty. Pomost drży pod stopami. Robotnicy odkręcają z wolna zawór na rurociągu odprowadzającym wodę. Teraz pompa powinna zassać wodę i wyrzucić ją całą swą siłą na powierzchnię. Lecz co to? Pompa pracuje na pełnych

obrotach, a poziom wody podnosi się nieubłaganie, zalewa statyw pompy, zaczyna podchodzić do silnika. Co robić? Pompa nie zassała wody! Nie łączy do rurociągu! Za chwilę dojdzie do zwarcia instalacji elektrycznej. Może porazić ludzi na pomoście, którzy stoja już po kolana w wodzie.

— Wyłączyć pompę!

Pompa staje. Pracowała ok. 45 minut. W ciszy, jaka nastąpiła, słychać rozpaczliwe przekleństwa. Dóź i robotnicy patrzą bezsilni, jak woda zalewa ich ostatnią nadzieję. Wychodzimy z wody po barierach do wiszącego kubła. Patrzymy, jak pompa i pomost pogrążają się z wolna w wodzie. Jeszcze parę razy błysnął w świetle lampy mosiadz pompy i po wszystkim.

Godzina 6. Nikt już nie mierzy poziomu wody, bo i po co? Na górze wszystko już wiedzą. Gorączkowo szykuje się pomost na 320 m. Co za twardzi i nieugięci ludzie?! Wiadomo, górnicy!

10.01.1978 r.

Brak możliwości pomiaru lustra wody. Prace przy montażu pomp na poziomie 320 m trwają bez przerwy. Ale to strefa silnie zamrożona. Czy w tych warunkach pompy wodne będą pracować? Może dać spokój temu pompowaniu? Może poszukać innego sposobu opanowania wody? Mam pewną koncepcję, ale czy będzie dobra?

Pracownicy z Wołomina wykonują próby chłonności na otworach mroźniowych. Do otworów nr 8 i 13 prawie nie nie wchodzi, natomiast otwór nr 35 chłonie solankę bez chłodzenia. Dlaczego daje się solankę? Bo woda by zamrzła. Górotwór jest jeszcze zamrożony i trzeba wiele miesięcy, by zupełnie się rozmroził.

11.01.1978 r.

Poziom wody systematycznie się podnosi i dziś o godzinie 6 osiągnął 400 m, czyli zalanych jest 310 m szybu. Trwają gorączkowe prace na poziomie 320 m, montuje się pompy i cały osprzęt. O godzinie 21.50 woda znajduje się już na głębokości 357 m. Do poziomu 320 coraz bliżej. Kto zwycięży: człowiek czy woda? Jednak woda! Władze naczelne podejmują decyzję o demontażu pomp na poziomie 320 m i przeniesieniu ich na poziom 150 m. Dla zmniejszenia dopływu rozpoczęto wydobywanie wody jednym kubłem, pomimo to poziom wody podnosi się nadal o ok. 2 m na godzinę. Słup wody w szybie zmniejsza dopływ wody, ale mimo to dopływa jej jeszcze ok. 920 l/min. Kłopoty na szybie „Samsonowicz” przesłaniają obraz na innych szybach, a przecież S-II ma już 624 m, a S-II — 31,8 m. Wyrasta z ziemi wielofunkcyjny budynek dla załogi i administracji, wznoszona jest stalowa konstrukcja kotłowni i budynek tymczasowej sortowni. Na szybie S-IV robota wrę. Wykonywane są drogi, utwardza się place. Trwa budowa rozdzielni i fundamentów pod łaźnię. Prace cementacyjne jakoś wolno idą naprzód. Brak konkretnych decyzji i technologii cementacji.

Wracając do domu, zasyłam w autobusie, taki jestem zmęczony. Nie dziwnego: jest godzina 20.10, a ja jeszcze nie jadłem obiadu. Znajomy budzi mnie przed przystankiem, na którym mam wysiadać. Wlokąc się do domu, rozmyślam o moim życiu. Niby ciężkie, ale jakie ciekawe.

W domu rozebrana choinka, tak jakoś pusto. Dopiero teraz zauważam, że przecież to już po Trzech Królach. Jak ten czas szybko leci! Zona pokazuje materiał na spodnie dla Waldka. Za dwa tygodnie będzie miał studniówkę. Edytka przynosi zadania z matematyki do rozwiązania, a Leszek wpycha się na kolana.

— Tatusiu, widziałeś pociąg na baterie? — pyta, gdyż marzy o takiej kolejce.

— Syneczku, tatuś nie ma teraz czasu na chodzenie po sklepach. Jak dostanę urlop, to pójdziemy razem i kupimy — odpowiadam.

To mu na razie wystarcza, daje mi na chwilę spokój.

12.01.1978 r.

Następny poziom pompowy na głębokości 320 m zakryła woda. Twarze górników są smutne i wyrażają brak wiary w to, co się robi. Górnicze prace wykonują mechanicznie, bez zapalu i zadowolenia. Wcale im się nie dziwi. Wszystkie decyzje zapadają przy drzwiach zamkniętych, bez ich udziału. Dopływ wody jest trzymany w tajemnicy przed prasą i ludźmi z zewnątrz zakładu. Nie wolno przekazywać osobom postronnym informacji o tym, co się dzieje w szybie „Samsonowicz”. Zadowolenie z wydobywania pierwszego węgla nie rekompensuje zmartwienia z powodu zalewania szybu. Wszyscy wiedzą, że nieprędko znajdą się znów na dnie szybu, a kiedy to nastąpi, tego nikt nie zgadnie. Czy można było tego uniknąć?

Od kilku dni dzwoni do mnie pan Kondraciuk z WODROL-u i chce mi przedstawić niezawodny sposób odwodnienia szybu. Umawiam się prawie codziennie, ale nie mam czasu go wysłuchać, a szkoda, bo może ma naprawdę coś ciekawego.

Do rana woda podniosła się do poziomu 289 m i nadal się podnosi.

(Witold Ilczak — „Po drugiej stronie albu — dziennik inżyniera Lubelskiego Zagłębia Węglowego”. Wydawnictwo Lubelskie, 1983 r. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji).

Po tej stronie albu

POWSTAJĄCA z codziennych niemal zapisków, przez kilka lat pisana książka inżyniera Witolda Ilczaka stała się oto ciałem łączącym aż 424 strony sporego formatu za sprawą Wydawnictwa Lubelskiego. Autor jest rasowym pamiętnikarzem, który kocha pisanie. Owszem, tu i ówdzie zastrzeżę się, że to tylko tak, dla zabawy, robi oko do czytelnika, demonstracyjnie lekceważąc swoją „pisanię”. Ale niech mu się zdarzy kilka dni bez obcowania z brulionem — gorliwie je potem uzupełnia, gesty się tłumaczy i sumiśnie. Jak człowiek solenny, który zaniedbał jakichś szalenie ważnych obowiązków. Waznych i satysfakcjonujących.

Pisanie bowiem jest dla Ilczaka ucieczką od szarżowności codzienności, ono tę codzienność nobilituje. Autor wyraźnie, jako człowiek na początku przesadnie skromny, w miarę stawiania się dziennikarce, prostuje się i rośnie nam w oczach a co jeszcze ważniejsze — w oczach własnych. Pisanie sprawia, że krzepnie jego wiara nie tylko w sens samego pisania lecz przede wszystkim wiara w siły i sens własnych poczynań. Inżynier Ilczak z pierwszych kart dziennika i jego autor o 400 stron (czyli siedem lat) dalej to dwaj różni ludzie, choć nie się wahało na zewnątrz w życiu tego człowieka nie stało: nie został dyrektorem, nawet kierownikiem działu, nie zmienił pracy, adresu, żony, a nawet poglądów; nadal

jest bardzo ostrożny, uważający (deklaracje do „Solidarności” wypełnił 10 listopada 1980 roku i od razu po wypełnieniu zanotował: „Na razie trzymam ją w biurku” po to, by owo „na razie” przeciągnąć do 23 lutego 81, w którym to dniu owa deklarację dopiero złożył).

Inność inżyniera piszącego polega na tym, że patrzy on teraz na świat i ludzi z innej perspektywy, z wyższych pięter. Zmieniła owa optyka obejmuje również patrzenie na samego siebie i własne miejsce w świecie. Najlepiej dowodzi powyższej tezy potraktowanie samego tematu książki, która miała być kroniką budowy LZW, pokazaniem świata po drugiej stronie albu; dziennik Ilczaka stał się czymś więcej — kroniką narodzin człowieka i autora. Owszem, inżynier Ilczak do ostatniej strony swego pamiętnika solennie chce się wywiązać z podpisannej z oficyną umowy i stara się zanotować, co istotnego powstaje w Bogdanie oraz okolicach pod ziemią i na powierzchni, ale wyraźnie jest tym już znudzony, wręcz zniechęcony. Poprzez pisanie odkrył, że praca — jakkolwiek szalenie ważna — nie jest jądrem życia. Autor poprzez dziennik odkrył samego siebie.

Czy poza tym najważniejszym celem każdego pisarstwa Ilczak wywiązał się również z umowy i stworzył kronikę LZW? Chyba tak. Nie jestem fachowcem od fediowania i inwestycji, ale wydaje mi się, że dotąd

nikt pełniej budowy lubelskiego zagłębia nie udokumentował. Ma więc i w tym względzie dziennik Ilczaka wartość znaczną.

Ale jeszcze większą wartość zapisków inżyniera wyraża się w jego stosunku do innych ludzi oraz sporej szczerości dokonywanych na publiczny bądź co bądź użytek wyznań (od początku niemal Ilczak wie, że dziennik zamierza drukować Wyd. Lubelskie). Zdumiewa wielkość szczerości autora, brak małostkowości. Pamiętnikarze na ogół biorą srogi rewanż na wszystkich, którzy zalali im sadła za skórę. Ilczak nawet dla swoich sztyrców i prześladowców, bezdusznych menadżerów, kacykowskich dyktatorów, ludzi ograniczonych i egoistycznych — ma wiele wyrozumienia i pożałowania. Jak ktoś większy, mądrzejszy. W hierarchii służbowej Ilczak jest pionkiem, szarym urzędniczym pyłkiem, ale w sferze wartości moralnych stoi wysoko ponad swoimi zwierzchnikami. Jest autentycznie życzliwy ludziom. Nieraz więc stwarza to wrażenie natworności, choć nią zapewne nie jest, gdyż wynika z autentycznej wiary w innych ludzi i z prawdziwej życiowej mądrości autora.

Wiarygodność dziennika zasadza się na jego sporej szczerości. O ile innych Ilczak zawsze potrafi wytlumaczyć i usprawiedliwić, to wobec siebie jest nieprzejdany, nie daruje sobie np. ani jednego kłótni, wiarę i sprawiedliwie odnotowuje każdą

wypitą butelkę i każde ze swoich postanowień, że to już koniec, więcej nie będzie... Dla swoich słabości jest bezwzględny. Ale ich też nie demonizuje, stara się obiektywnie patrzeć, analizować, zrozumieć do końca. Jak każdy rasowy autor.

Pisze już świadomy swej roli autor pod datą 25.03.1979 r.: „Uśmieleń się, czytając artykuł w dzisiejszym „Sztandarze Ludu” na temat prac w Bogdanie. Powtarzają to same slogany i bzdury, co tydzień temu”. Jest więc bardzo krytyczny w stosunku do zjawiska, do gazety, ale jej twórcy, sprawcy zjawiska dątej propagandy sukcesu to zawsze wymieniane z nazwiska panie i panowie z epitetami „milia”, „sympatyczny” etc. A więc jednak zakłamanie, hipokryzja! Chyba nie. Ilczak rzeczywiście zdaje się tak właśnie potrzebować na świat i ludzi: z pobłażaniem i zrozumieniem. Nawet dla rzeczy strasznych: „śledzimy całą rodziną przy telewizorze i oglądamy filmy i reportaże”. Takie postępowanie przed telewizorem powtarza się niby refren na kartach dziennika. Telewizja jest beznadziejna, ale się ją ogląda, jak leci. Bo nie ma innego wyboru.

W sumie Ilczak napisał dziennik dokumentujący raczej te, a nie tamta, drugą stronę albu, raczej pokazał portret Polaka lat siedemdziesiątych stającego po ulicach miast, jeżdżącego w delegacji, pilnego niemal codziennie, na kacu wycierającego portkami biurowe krzesła na nie kończących się naradach, zagonionego, zaplatanego w pozory i kłamstwa, uwikłanego w troski i kłopoty — niż wizerunek dumnego budowniczego zagłębia. Zresztą, po drugiej stronie albu w dzienniku Ilczaka jest tak samo: ciagle nie wychodzi, co krok to totalna niechęć, niałość, bylejakość.

A najbardziej zdumiewające jest to, że ów pamiętnik kłótni i niałości napisał największy, jakiego znam, optymista.

Stanisław Harasimiuk

ROZKOLYSAŁY się kryteria wartości w świecie współczesnym. Życie staje się coraz trudniejsze, a dla niejednego z nas — wręcz niemożliwe. Nawet sprawni emocjonalnie ludzie, którzy właściwie reagują na nieprawości, krzywdy i wszelkiego rodzaju narzucane im dewiacje i którzy uznają — jako poczucie wartości osobistej — szeroko rozumiane uczestnictwo w kulturze i dorobku naukowym oraz czerpią zadowolenie z efektów swych przemysłowych działań, również oni nie zawsze znajdują odpowiednie antidotum na ujemne wpływy niekontrolowanego postępu cywilizacyjnego. Obawa przed trudnymi sytuacjami życiowymi, kryzys domu rodzinnego, przekonanie, że rozum zawiódł człowieka, czy wreszcie brak akceptacji naszych poczynań przez otoczenie — wszystko to sprzyja zanikowi sensownych działań związanych z elastycznym przystosowaniem się do ciągłej zmiany, nierzadko prowadząc nawet w świat iluzji, w świat, który nie istnieje.

Pragnienie spowodowania sztucznych zmian w stanach psychiki było dążeniem człowieka od zarania jego dziejów. W dążeniach tych odzwierciedlała się bowiem odwieczna tęsknota za realizacją marzeń, jak również chęć ucieczki od monotony, ciągle niemal takiej samej codzienności. Właśnie narkotyki dają symulację krótkotrwałego zaspokojenia tych pragnień, dają złudne poczucie obecności w świecie znacznie ciekawszym aniżeli świat codziennej rzeczywistości. Pozory „szczęścia” wywołanego działaniem narkotyku robią się z czasem coraz to bardziej mgliste i rozmyte, a przy tym człowiek stwierdza u siebie szereg fizycznych i psychicznych zmian na gorsze... I wówczas pragnąłby zawrócić, ale narkotyk strzeże swojej władzy, dążąc nieustannie do pogłębienia stanu, w jakim znalazła się jego ofiara. W końcu, wolna kiedyś i ciesząca się życiem ludzka istota zamienia się w wiernopoddane narzędzie demona, który odbiera jej wolną wolę, rozum, zdrowie — nie dając w zamian nic, prócz swoich wizji szalonych.

Chociaż pierwszych prób pędzenia „makiwary” z makowin dokonano w Polsce zaledwie kilkanaście lat temu, to nasza rodzima narkomania zniszczyła w barbarzyński sposób i w oszalałym wprost tempie całe rzesze młodych, wchodzących dopiero w dorosłe życie ludzi.

Złożyło się na to wiele powodów. Problem ten, jako „wstydlivy społeczny”, był np. w okresie działania tzw. „propagandy sukcesu” selektywnie omijany i minimalizowany. Niekiedy tylko opinia publiczna dowiadywała się o „odosobnionych przypadkach nadużywania środków odurzających przez hippiesów”. Dopiero w drugiej połowie 1980 roku sprawa ta wypłynęła na wierzch, wchodząc w miejsca na listę dylematów społecznych. W latach 1982—83 tygodniki były aż ciężkie od publikacji o „polskiej heroinie”, a cała sprawa znalazła się w centrum zainteresowania ogółu. Pojawili się wszakże i takie głosy, że „polska narkomania” to problem nierzeczywisty, a kampa-

nia prasowa przypomina „strzelanie z armat do wróbli”.

Tzw. gola prawda ujawniła się już latem 1982 roku: w ogródkach działkowych i na podmiejskich plantacjach, pojedynczo i stadnie, zaczęli pojawiać się młodzi na ogół ludzie. Chłopi zachodzili w głowę — po co młodzież zbiera makowiny, które nawet nie bardzo nadają się na podściółkę dla bydła!

Dopiero niedawno szeroka opinia publiczna dowiedziała się, że „polska heroina” wytwarzana jest metodą chemiczną z makowin, a sposób jej produkcji znany jest ogółowi narkomanów. Z tych względów niezwykle ważnym elementem w zespołach działań określonych jako „walka ze zjawiskiem narkomanii” był zamysł ograniczenia możliwości zdobywania narkotyku, realizowany poprzez kontrolę zarówno produkcji, jak i dystrybucji słomy makowej. Stano-

nicach 0,1 — 0,5 ha. Ciekawe jest to, że na niektórych terenach woj. lubelskiego w ogóle nie uprawia się maku. Są to m.in. okolice Nowodworu, Sernik, Kamionki, Abramowa i Jeziorzan.

Największa plantacja maku w województwie liczyła aż 4,12 ha i znajdowała się w Ciechankach Łęczyńskich. Na terenie gminy Opole Lubelskie mak uprawiało 295 plantatorów, a łączna powierzchnia tych plantacji wynosiła 44,48 ha. Nie stwierdzono wprawdzie przypadków odsprzedażania makowin narkomanom, zanotowano natomiast dwa przypadki, w których plantatorzy nie dokonali obowiązkowych rejestracji posiadanych upraw. Są to plantacje położone w rejonie Bychawy (0,2 ha) i w Dzierzkowicach (8 arów). Przeciwno obu tym plantatorom wszczęte zostało postępowanie karne.

czeństwa. Jednym z uczestników sympozjum był mgr Stanisław Łopuszyński, wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie, autor wielu unikalnych i specjalistycznych opracowań w przedmiocie ograniczania i zapobiegania rozszerzaniu się narkomanii. Stwierdza on, że nie wypracowano dotąd żadnej uniwersalnej metody pozwalającej na skuteczne rozwiązanie tego mrocznego problemu — tak w obszarze kraju, jak i w skali globalnej. Jedyną realną nadzieję St. Łopuszyński upatruje w skoordynowanych, kompleksowych i komplementarnych działaniach o charakterze prawnoadministracyjnym, społecznym, rodzinnym, towarzyskim, a dla osób zorientowanych konfesyjnie — również religijnym. Sądzi, że skala i szybkość rozprzestrzeniania się leko- i narkomanii wymagają, by działać od razu i to w możliwie jak najszerzy sposób. Bo dzieje się tak:

— 14-letnie dziecko wsparte plecami o rynnę. Twarz sina, charakterystyczny, nienaturalny grymas. Od ponad pół roku ten mały narkoman „klei się” — odurza oparami kleju.

— W wieku 13 lat zaczął od wachania „kleju”. Teraz, kiedy ma 21 lat, jego figura przypomina sylwetkę kilkunastoletniego chłopca z osadzoną na niej głową starca. Mózg uległ już tak silnej autodestrukcji, że człowiek nie jest w stanie sensownie rozmawiać. Był parę razy „na odwyku”, wracał, i „łpał” od nowa. Teraz ma tylko dwie realne perspektywy: „zaćpa” się na śmierć, albo skończy w „głupiejowie”.

— W listopadzie bieżącego roku skończyłby 22 lata. Zanim wyskoczył na twarde płyty chodnika z okna swojego mieszkania usytuowanego na ósmym piętrze wieżowca — często używał „ekskluzywnego” narkotyku typu LSD-25. Ostatnio opowiadał, że przesładowały go jakieś uniformie straszliwa.

— Trzydziestoparoletni człowiek: stateczny, żonaty, posiadający dwoje dzieci. W brzydki, mroczny wieczór lyknął sobie „na poprawienie samopoczucia” cztery tabletki pewnego specyfiku i potem wypił trochę alkoholu. Nie wiedział, że połączenie w organizmie tych dwu substancji często powoduje tzw. „rausz patologiczny” — silne zaburzenie świadomości ze skłonnościami do działań agresywnych skierowanych na zewnątrz... Niedługo potem napadł na swoją śpiącą małżonkę i pobił tak dotkliwie, że szczerka poćkała jej w kilku miejscach. Odpokutował to tylko kilkumiesięczną separacją, bo żona z litości nie wniosła sprawy do prokuratury...

Przykłady takie można mnożyć, nie ograniczając się bynajmniej do działań osób płci męskiej!

Panuje przekonanie, że uzależniony od narkotyku „musi z tym umrzeć”. Nie bardziej mylnego! Są bowiem bardzo skuteczne — acz długofalowe — zabiegi i metody trwałego leczenia z tego nalogu. Bliższych informacji i pomocy udzielają w Lublinie: Towarzystwo Zapobiegania Narkomanii przy ul. Chopina 7 (tel. 263-40) oraz Przychodnia Leczenia Uzależnień Lekowych przy ul. S. Wyszyńskiego 4 (tel. 229-79).

W sprawie narkomanii

WOLNA NIEWOLA

Krzysztof Drozd, Witold Wawrzonek

wi o tym Rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej z 10 czerwca 1983 roku „w sprawie rejestracji upraw maku lekarskiego i wykupu słomy makowej”. Dokument ten określa m.in., że: słoma makowa to makówka i 7 cm łodygi pozostałej po ścięciu ręcznym; uprawa maku lekarskiego to plantacja tej rośliny o powierzchni przekraczającej 50 metrów kwadratowych (0,5 ara) w przeliczeniu na obszar zwarty.

Najistotniejsze przy tym, że rozporządzenie nakłada na gminne spółdzielnie SCH i „Herbapol” obowiązek przymusowego wykupu słomy makowej po cenie 30 złotych za kilogram, zgodnie z potrzebami, zaś na plantatorów, którzy uprawiają obszar maku większy od 50 metrów kwadratowych — obowiązek rejestracji takich plantacji w terminie do 15 lipca każdego roku i obowiązkową sprzedaż wspomnianym jednostkom słomy makowej do 31 grudnia każdego roku. Kto nie zgłosi takiej plantacji do rejestracji w przepisany termin, podlega karze aresztu do jednego roku, karze grzywny, albo obu tym karom łącznie. Za nabywanie, wprowadzanie do obrotu, przerabianie, przewożenie lub przenoszenie słomy makowej grozi kara do trzech lat więzienia i grzywny. Nie wykupiony przez SCH lub „Herbapol” nadmiar słomy makowej ma być zniszczony przez spalanie, a koszty z tym związane pokryje Skarb Państwa.

Jak wynika z informacji uzyskanych z kompetentnej komórki Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie, w bieżącym roku największe obszary upraw maku skupione były w okolicach Lublina, Łęcznej i Opola Lubelskiego, przy czym przeciętny areal tych upraw wahał się w gra-

Na pewne ewenementy, ściśle związane z wykonywaniem rygorów cytowanego rozporządzenia, zwrócił nam uwagę jeden z pracowników Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Miejskiego w Lublinie. Chodzi o to, że plantatorzy, którzy uprawiają większe areale tej rośliny, nie dokonują na ogół zbioru ręczny, a używają do tego celu maszyn — z reguły kosiarki i młocarni. Wiadomo, że podane do „gardia” młocarni makówki wraz ze słomą makową wylatują po drugiej stronie w dokładnie rozdzielonych i przemieszanych ze sobą fragmentach. Jak tedy, po dokonaniu takiego „zabiegu”, można rozliczyć się z makówki i 7-centymetrowego odcinka słomy makowej? A poza tym, kto z punktu widzenia kompetencyjnego winien baczyć na tak ważną rzecz: czy na przykład plantator poddał rejestracji faktycznie istniejący obszar tej rośliny, a nie, powiedzmy, dwa razy mniejszy? Sprawa wydaje się być o tyle istotna, że certyfikat sześcienny wstrzykiwanego do żyłnie „kompotu” sprzedawany jest po słonej cenie, a jeden narkoman potrzebuje codziennie 3—9 centymetrów sześciennych „środka”, zaś w dużych aglomeracjach miejskich co wieczór „łpa” od 2000 do 6000 narkomanów. Czy fakty te nie mogą stanowić pokusy dla amatorów dużego i łatwego zysku?

W minionym roku Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie zorganizowało sympozjum naukowe, w którym uczestniczyli pedagodzy, lekarze i prawnicy z dwunastu województw. Dyskusja ogniskowała się wokół „syndromu narkomanii” oraz wypracowania dobrze przemyślanej strategii i taktyki przeciwdziałania temu niebezpie-

MOTOROWE OSTATKI

TEGO rodzaju impreza została zorganizowana w naszym mieście po raz pierwszy — za sprawą Polskiego Związku Motorowego w Lublinie, Automobilklubu Lubelskiego, klubu motorowego „Pionier” oraz przy współpracy lubelskiej rozgłośni PRITV.

6 listopada br. na tzw. Górkach Czechowskich można było zobaczyć motocross, jazdę stylową motocyklem, skoki motocyklowe (wszystko w wykonaniu czynnych zawodników), jazdę sprawnościową motocyklem dla nie stowarzyszonych oraz pokaz możliwości samochodu terenowego GAZ-67B (na zdjęciu).

Właścicielem i konstruktorem tego pojazdu, który sprawnie, choć z dużym ryzykiem, pokonał ciężką trasę motocrossu, gdzie niejednemu motocyklisty spadał po kilka razy, jest pan Ireneusz Kitowski z Lublina. Samochód został skonstruowany (przy współudziale Grzegorza Wójtowicza z Bełżyc) jesienią 1972 roku z dwu modeli GAZ-67B, pochodzących z lat 1944—45.

Pan Kitowski jest członkiem sekcji starych samochodów Automobilklubu Lubelskiego i zdążył już w swoim pojeździe „spracować” dwa oryginalne silniki od swojego GAZ-a, biorąc udział w rajdach samochodów terenowych m.in. w Jeepingu w Sulejowie (czerwiec 83), Polskim Safari w Mrągowie (lipiec 83), Tarpaniada w Czeszewie (wrzesień 83) zorganizowanej przez Fabrykę Samochodów Rolniczych w Poznaniu. Ostatnio, choć zima, wybrał się w Bieszczady.

(m.p.)



Fot. Jacek Nitrosław

Tajemnica „dla dobra sprawy”

Artur Borkowski

WTOREK 25 października zapowiadał się bardzo pięknie. Od rana świeciło słońce. Było chłodno, ale sucho. Podobnie jak wiele innych matek tego dnia, pani Danuta D. postanowiła spędzić ze swoimi dziećmi kilka godzin na świeżym powietrzu. Prawie 2-letnia Marta (13 listopada obchodziła urodziny) i 7-letni Marek powędrowali z mamą najpierw do parku W Białymstoku jest on naprawdę wspaniały. Masa starych drzew, dużo kolorowych liści oraz szerokie alejki stwarzają możliwość relaksu i zabawy. Integralną część parku stanowi ogród zoologiczny, zwany „Akcentem”, dokąd w końcu zawędrowali. Dochodziła akurat godzina 14. Po 60-minutowej przerwie, wykorzystanej na karmienie zwierząt, ogród ponownie udostępniono zwiedzającym...

Danuta D. zgadza się na rozmowę ze mną. — Dzieci koniecznie chciały zobaczyć z bliska lwy. Szczególnie Marta zakochana była w kotach. Mają rodzinę na wsi i stąd chyba ta fascynacja czworonogami. Podeszli w okolicę klatki z drapieżnikami. Naprzeciwko niej, w odległości czterech lub pięciu metrów, eksponowane są ptaki. Matka cały czas patrzyła na dzieci. Miała ułatwione zadanie, gdyż oprócz nich nie było nikogo. W pewnym momencie syn zapytał o nazwy kilku ptaków. Podeszła z nim do klatki. Zdażyła powiedzieć — Marku, to są bażanty. Pamięta dokładnie, powiedziała — to są bażanty. Trwało to raptem, jak próbuje sobie teraz przypomnieć, kilka sekund. Odwróciła głowę i zobaczyła, że lew wciąga małą do klatki, z ogromną furją atakując dziecko. Matka natychmiast rzuciła się w tamtą stronę. Nie zdołała od razu pokonać barierki. Wydaje jej się, że za drugim, a może za trzecim razem to się udało. Upadła na krzewy róż. Wyciągnęła rękę i starała się oderwać dziecko od kraty. Lew szarpał małą. W pewnej chwili zdążyła sobie sprawę, że ciało Marty wymyka się jej z rąk i jest już prawie po drugiej stronie kraty. Z jeszcze większą energią, z całych sił ciągnęła dziecko za rękę. Wie, że bała się, aby jej nie urwać. Nie pamięta, co było później. Dowiedziała się z cudzych opowiadań, że dwóch młodych ludzi odsunęło ją od klatki.

Pogotowie, milicja, personel ogrodu i mnóstwo gapiów. Danuta D. trafiła momentalnie w ręce lekarzy. Obrażenia fizyczne, poza niewielką raną ciętą ręką, nie odniosła. Na razie bardzo pragnie spokoju. Straciła dziecko. Nieustannie myśli o tym, co się stało, rozważa stopień swojej winy, zastanawia się czy zasługuje na miano matki...

Białostockie ZOO zajmuje niewielki obszar. Jest to raczej zwierzyniec niż ogród zoologiczny z prawdziwego zdarzenia. Brak środków i potrzeba inwestowania gdzie indziej — od lat odstawiają jego modernizację. Wielokrotnie zastanawiano się nad sensem istnienia placówki. Nie myślano chyba jednak specjalnie o bezpieczeństwie zwiedzających. Kilkakrotnie obszedłem „Akcent” dookoła. Ogródzenie zewnę-

trzone, stanowiące w wielu wypadkach jedną ze ścian boksów dla zwierząt, to słabo naciągnięta, powyginana druciana siatka. Betonowe słupki, na których opiera się ta cała konstrukcja, pod wpływem zmian temperatury pękają i wyłazają z ziemi.

Klatka dla lwów wykonana jest z metalowych prętów, oddalonych jeden od drugiego o 8 cm. 1,5–2 m przed nią ustawiona jest barierka. Podobna do płotków oddzielających pasma ruchu. Może nieco wyższa. W swojej górnej części obramowana metalową rurą, o którą zwiedzający przeważnie się opierają. Całe to zabezpieczenie ma jedną, ale poważną wadę. Pomiedzy poszczególnymi płaszczyznami osiatkowania znajdują się przerwy. Niczym nie zabezpieczone luki. Ich szerokość u góry wynosi 13 cm, natomiast u dołu 19 cm. Przestrzeń między ogrodzeniem a klatką wypełniają krzewy róż. Poza elementem dekoracyjnym stanowią naturalną zaporę. Jak wiemy dziś — nieskuteczną.

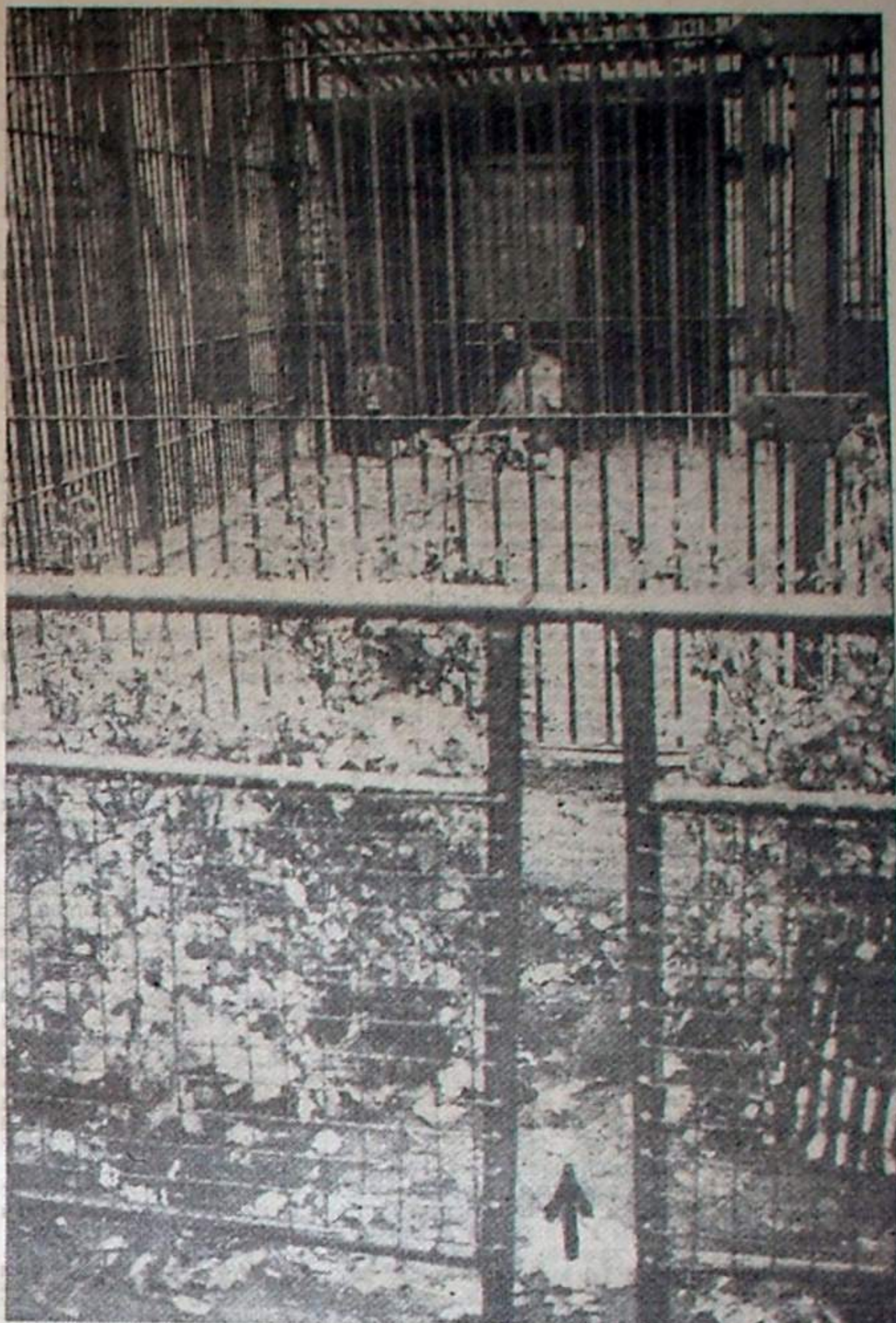
Mówi Wacław Ostaszewski, wiceprezydent miasta:

— W dniu jutrzejszym (4 listopada — przyp. A. B.) specjalna komisja, w której skład wejdą przedstawiciele Urzędu Miejskiego, Miejskiego Przedsiębiorstwa Zieleni, Prokuratury Rejonowej oraz warszawskiego ogrodu zoologicznego, przystąpi po dokonaniu wizji lokalnej, do zbadania zgodności rzeczywistych parametrów klatki lwów z zabezpieczoną przez organa dochodzeniowe dokumentacją. Moim zdaniem, trudno w tej chwili wskazać winnego, aczkolwiek uważam, iż ogrodzenie przed klatką było zbyt niskie. Osiatkowanie niewystarczające i na przyszłość należałoby wstawić dodatkowe słupki. Sądzę także, że projekt powinien pewnie rzeczy przewidywać. Przecież ogród zoologiczny odwiedzają głównie dzieci.

Prezydent obiecał, że będę mógł zapoznać się z wynikami prac komisji. Chodziło przecież jedynie o odpowiedź na pytanie, czy w „Akcentie” środki zabezpieczające zwiedzających przed drapieżnikami były zgodne z dokumentacją. Z dokumentacją, co do której prawidłowości przez długie lata nikt nie miał żadnych zastrzeżeń. Prosiłem o wgląd do sporządzonego przez fachowców raportu, by móc w oparciu o rzetelne ustalenia, podać, bez snucia domysłów, stan faktyczny. Niestety, „dla dobra sprawy” prace komisji owiane zostały tajemnicą. Niewiarygodne lekceważenie opinii publicznej!

Mówi Irena Podgórska, kierownik ogrodu zoologicznego „Akcent” w Białymstoku:

— W ogrodzie pracuję już 7 lat. Wielokrotnie gościłam u siebie różnego rodzaju komisje. Badaly one stopień i prawidłowość zabezpieczenia zdrowia i życia odwiedzających ZOO. Nigdy, mam na to, co mówię, pisemne dowody, nie stwierdzono w tym zakresie najmniejszych chociażby uchybień. Co ja o tym wszystkim myślę? Tej tragedii mogło nie być. Ogródzenie zewnętrzne pan widział. Już 14 lat leży, wykonany przez Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego, techniczno-



Właśnie wtedy mała Marta dostała się do drapieżników.

Fot. Zdzisław Lenkiewicz

-roboczy projekt ogrodzenia ogrodu. Przewiduje on parkan z prawdziwego zdarzenia, siatkę na odpowiednio wysokiej podmurówce. Innym przykładem, moim zdaniem ukazującym niefrasobliwość odpowiednich władz, może być fakt, jaki zdarzył się w 1980 roku. Otóż prowizorycznie wykonana instalacja elektryczna (przewody porożewiane były nisko na drzewach), dając przebiecie, stała się przyczyną porażenia prądem zwierząt. Całe szczęście, że nie doszło do tragedii. Iż to nie ludzie, a stworzenia uciierały... Oczywiście, obecnie instalacja funkcjonuje prawidłowo i nikomu nie grozi. Proszę mi wierzyć, to, iż na początku nie chciałam w ogóle z panem rozmawiać, spowodowane jest wielkim rozgoryczeniem, że dopiero teraz szuka się winnych. Jestem zmęczona ciągłym apelowaniem, robię to od lat, o większe zainteresowanie sprawami nurtującymi ogród. Mój bezpośredni zwierzchnik, dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Zieleni, odwiedził „Akcent” w tym roku tylko raz. Nie pofatygował się nawet ostatnio, gdy zginął człowiek. O ile wiem, klatka dla lwów wykonana była zgodnie z dokumentacją. Trudno mi powiedzieć, czy w skład obligatoryjnego zabezpieczenia wchodzi barierka przed klatką. Nie orientuję się także, czy przerwy w osiatkowaniu powinny być w jakiś sposób zabezpieczone. My, to znaczy pracownicy ZOO, na własną rękę wstawialiśmy w te luki siatkę. Niestety, w dniu tragedii w jednej z nich siatki nie było...

Białostockie ZOO bardzo poruszeni są wypadkiem. Z przeprowadzonych rozmów zorientowałem się, że za to, co się stało, większość obwinia ZOO. Ludzie uważają, iż jest to miejsce, gdzie rodzice po to zabierają swoje pociechy, aby mogły one poznać zwierzęta. Trudno kilkuletnią trzymać bez przerwy na uwięzi, kontrolować każdy jej ruch czy krok. Obowiązkiem instytucji jest zapewnienie takiego bezpieczeństwa, aby dzieci mogły swobodnie oglądać lwy czy żubry nie tylko w telewizji lub cyrku. Wystarczył moment, aby dwuletnia dziewczynka bez trudu pokonała „system zabezpieczeń”.

Padły także głosy, że niefrasobliwość matki została straszliwie ukarana. Wszyscy są zgodni co do tego, że z „Akcentem” trzeba coś zrobić. Albo go lepiej zabezpieczyć, albo po prostu zlikwidować.

Daniel D., ojciec nieżyjącego dziecka, mówi dużo spokojniej niż jego żona:

— Odnoszę wrażenie, że wszyscy chcą nam wmówić winę. Zna jest bliska obłądu. Chyba do końca życia nie poradzi sobie z wyrzutami sumienia. Tłumaczę jej, jak umiem, że to nie ona jest winna, a właściwie nie tylko ona. Trudno doprawdy odpowiedzieć na wiele nurtujących pytań. To, że ogród zoologiczny nie dołożył wszelkich starań, aby zapewnić bezpieczeństwo, jest pewne. Tak ja uważam, ale czy podobnie orzekną organa sprawiedliwości? Chcemy, aby wygrała prawda, myślimy nie tylko o naszym nieżyjącym dziecku. Do ZOO przyjdą przecież w przyszłości inne dzieci.

Raz jeszcze zaglądam do białostockiego parku, do „Akcentu”. Nie opodał klatki z lwami widniejącej ogromna tablica:

Zabrania się pod odpowiedzialnością karna:

- straszenia i drażnienia zwierząt
- karmienia zwierząt i dotykania
- wchodzenia poza ogrodzenie
- zbliżania się z psami do ogrodzenia
- niszczenia ogrodzenia i opierania się o nie.

Wszystko drukowanymi literami, niezwykle czytelnie. Przewidziano każdą możliwą ewentualność naruszenia obwarowanego przepisami oraz sankcjami, porządku. Nie pomyślano o jednym, że 2-letnie dziecko może lubić zwierzęta i chcieć je zobaczyć z bliska. Brak wyobraźni dorosłych stał się przyczyną tragedii. A wystarczyło przecież podwyższyć ogrodzenie — załatać dziury. Z lokalnej prasy dowiedziałem się, że w najbliższym czasie ogrodzenia w ZOO poddane zostaną modernizacji.

JANKA BRYL

Ostatni raz widzieliśmy się i rozmawialiśmy zewnętrznie lat temu w Gdańsku i Gdyni, głównie na naszym transatlantyku „Batorym”. Było to na Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, a nadto w 30-tą rocznicę Września.

Janka Bryl jako 22-letni młodzieniec, żołnierz 2 Batalionu Strzelców Morskich, bronił w 1939 roku Oksywia i Gdyni i właśnie w 1969 roku otrzymał godność: „Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej”, a niedawno „Medal za udział w kampanii wrześniowej”. Ten radziecki pisarz ma w swoim życiorysie także epizod związany z naszym regionem. Wspomniany batalion przez prawie trzy miesiące odbywał przeszkolenie w 1939 roku w koszarach w Chelmie.

Janka Bryl, przez odznaczenia związanych z jego walką jako żołnierza polskiego w pierwszych bitwach z niemieckim faszyzmem, posiada znaczące wyróżnienia polskie, łączące się z jego twórczością i działalnością w dziedzinie upowszechnienia kultury polskiej na Białorusi i w ogóle w Związku Radzieckim. Otrzymał nagrody: Stowarzyszenia ZAiKS oraz im. Włodzimierza Pietrzaka i odznaczenie „Zasłużony dla kultury polskiej”.

W październiku br. bawiła w Polsce siedmiuosobowa grupa radzieckich pisarzy-kombatantów: Juzy Bedzik, Janka Bryl, Sero Chanzadian, Owidij Gorezakow, Oleg Smirnow, Salomon Smolianiński i Jurij Tarski — przewodniczący delegacji. Wraz z literatami polskimi, także kombatantami ostatniej wojny pod przewodnictwem Stanisława R. Dobrowolskiego, jechali oni na zachód szlakiem I Armii Wojska Polskiego. Droga ich podróży wiodła od Riazania poprzez Lenino, a po naszej stronie przez Podlasie, Chelm, Lublin, Dęblin, a dalej aż po Szczecin. Przy tej okazji poprosiłem Janke Bryla o wywiad dla „Kamena”.

TADEUSZ JASINSKI — Urodził się pan w znanym i niespokojnym roku 1917, i to w Odessie. W tym portowym mieście przyszło na świat wielu znanych pisarzy, m.in.: Izak Babel i nasza Halina Auderska; istniała tuw. szkoła odeska z Buninem i Katajewem. Pan wychował się jednak na zachodniej Białorusi, w granicach międzywojennego państwa polskiego. Miał pan pięć lat, gdy ojciec-kolejarz wrócił z Odessy do rodzinnej Zahory pod Nowogrodkiem. Nie pamiętam już: w „Patrzeć na trawę” czy raczej w „Świecie dalekim i bliskim” pisze pan o wielkim wpływie polskiej nauczycielki Marii na osobowość dziecka, o baśniach kaszubskich i o innych, na których wychowywali się uczniowie tamtego okresu. Wreszcie o tym, że pani ta znała białoruską poezję ludową i poprzez nią umiała władać sercami swoich wychowanków. Jest pan niewątpliwie pisarzem białoruskim, radzieckim, kim czuł się pan w okresie dzieciństwa i młodości?

JANKA BRYL — Jako człowiek i pisarz zaczynam się na zachodniej Białorusi. Wiesz rodzinna, Zahory, znajduje się między Mirem a Koreliczami, na obszarze, który został utrwalony w polskiej literaturze, głównie romantyzmu; uwieczniło go także nasze, białoruskie piśmiennictwo. Podlegałem wpływowi rodzimym i polskim.

T.J. — W pańskich opowiadaniach jest wyraźna, krytyczna ocena obszarnictwa polskiego oraz aparatu władzy. Równocześnie jednak wychowuje się, że polska kultura i jej nosiciele są przyjmowani przez pana przyjaźnie.

J.B. — No tak. Dość dużo napisałem o tym w powieści „Ptaki i gniazda”, wydanej już także po niemiecku, czesku, łotewsku, ukraińsku i rosyjsku; niestety nie zainteresowali się nią jeszcze polscy wydawcy. W niej chyba zawarłem najpełniej, co znaczy dla mnie Polska i jej kultura, a nadto w „Patrzeć na trawę”, choćby w noweli „Sierocy chleb” o tej szlachetnej Polce, mojej nauczycielce właśnie — pani Marii, a także w eseju poświęconym w wyborze moich dzieł. Krakowskie „Wydawnictwo Literackie” przyjęło ostatnio zbiór nowel pt. „Świt ujrzany z daleka” w interesującym przekładzie Anny Sobeckiej, gdzie może najwięcej i w sposób wyklarowany wracam do dzieciństwa i moich powiązań z kulturą polską.

T.J. — Czy miejsce dorastania, echa: „Kokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie” miały wpływ na pańskie zainteresowanie się Mickiewiczem? To przecież pan dokonał wyboru jego poezji, przychylił się do udostępnienia jej białoruskiemu czytelnikowi.

J.B. — Tak, ja lubię Mickiewicza, lubię też Syrokomlę, obaj ukazali piękno tej okolicy, dali jej odbicie w poezji, nadto z szacunkiem wprowadzili lud tej ziemi do literatury. Największy wkład w tłumaczenie Mickiewicza ma Maksym Tank. Przygotowuje się obecnie u nas dwutomowy zbiór poezji autora „Ody do młodości”, nadto wydanie „Pana Tadeusza” w nowym przekładzie Jazepa Siemiatyżana.

T.J. — Wreszcie współczesność. Pańskie przekłady Jarosława Iwaszkiewicza, Leona Kruczkowskiego, Tadeusza Różewicza, swego imiennika Ernesta Brylla i innych. Ta wielka praca sprawiła, iż musi pan śledzić na bieżąco rozwój polskiej literatury współczesnej. Wiem, że posiada pan w Polsce wielu przyjaciół.

J.B. — Wiele przyjaciół zaczęło się właśnie w Gdyni, na „Batorym”, gdzie i myśmy się poznali. Mam tu na myśli Jana Huszcę, Macieja Józefa Kononowicza, Igora Sikiryczkiego i Tadeusza Chrościelewskiego, wreszcie Wojciecha Zukrowskiego, Stanisława R. Dobrowolskiego, Floriana Nieuważnego, Zbigniewa Zakiewicza, Jerzego Pachlowskiego i kilku innych. W setną rocznicę urodzin Janki Kupaly gościliśmy u nas Józefa Ozgę-Michalskiego. Od przyjaciół otrzymuję książki. Cały czas czytam i śledzę współczesną literaturę polską, prozę przede wszystkim. W roczniku „Dalahlady” („Widnokręgi”) sporo drukujemy Polaków także w moim przekładzie. Tłumaczę polską prozę dla naszych periodyków. Od Dąbrowskiej do Stanisława Srokowskiego, nabierało się 30 nowel 20 autorów. Pomieściłem je w zbiorze pt. „Sad”.

T.J. — Nasz edytor, Państwowy Instytut Wydawniczy, na obwołane zbiory opowiadań pt.: „Świat daleki i bliski” (przekład Ewy Rojewskiej) umieszcza, poza notką biograficzną, także i taką opinię o panu: „Przed wszystkim jednak interesują go świat wewnętrzny przeżyć człowieka. Dla psychologicznej prozy Brylla charakterystyczna jest epickość i artyzm opisu przyrody. Jest to proza przesiąknięta poezją, w naturalny sposób połączona z realistycznym opisem codzienności. Monolog liryczny przeplata się tu z liryczną refleksją i epickim opisem. Janka Bryl jest mistrzem małej formy. Jest piewcą piękna swego ojczystego kraju. Propaguje na Białorusi polską kulturę i literaturę”. Czy zgadza się pan z takim ujęciem własnej twórczości?

J.B. — O sobie niełatwo się mówi, ale ja się z tym zgadzam. Podobnie rzecz ujmowali w „No-

wych książkach” Wojciech Zukrowski i Florian Nieuważny, a przy okazji wydania „Bajd Dolnych” w posłowie pisał Jan Huszcza.

T.J. — Czy myślisz obecnie współczesna literatura radziecka, a młoda w szczególności? Czy możliwe jest krótkie tego określenie?

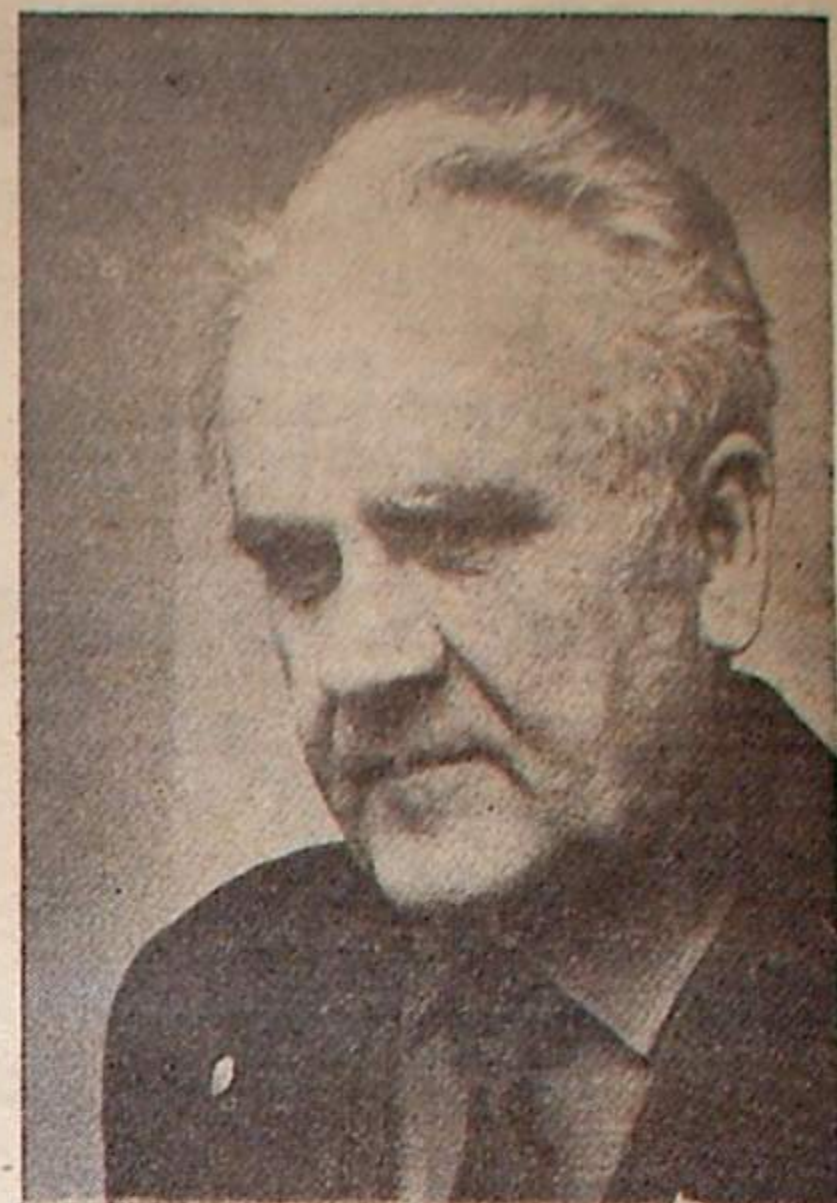
J.B. — Mówi się zazwyczaj: „rozwój poezji, prozy w młodej literaturze”, ale dojrzałość przypisuje się pisarzom średniego i starszego pokolenia. Nie jest to dokładnie tak, spotykam u młodych nie tylko świeżość, lecz i nierzadko dojrzałość, żeby wymienić Iwana Jewsiejenkę z Woroneża, Włodzimierza Krupina, mało znanego jeszcze poza swoją republiką Estończyka Julo Tunlika, Hrykura Tiutiumika z Ukrainy, świetnego u nas poetę Ryhora Baradulina, Donata Biczyla i co najmniej dziesięciu innych, którzy już dobrze wpisują się w świadomość czytelniczą. Natomiast cała literatura radziecka skupia swoją uwagę na problematyce wojny i pokoju, ochrony przyrody, każdy autor wyraża te niepokoje po swojemu. Charakterystyczne dla literatury zagłębienie się w psychikę i duszę ludzką, humanizm, szukanie istoty człowieczeństwa. Tradycje wielkiej literatury rosyjskiej mają widoczny wpływ, mimo że każda z literatur narodowych posiada swoje własne, niepowtarzalne oblicze. Nic zresztą dziwnego, że spuścizny narodowej czerpie się na całym świecie.

T.J. — W naszym, polskim odczuciu nastąpił w Związku Radzieckim niebywały rozwój własnej literatury narodowej, w tym także białoruskiej. Dorobek pisarzy białoruskich jest nam jednak udostępniany najczęściej za pośrednictwem języka rosyjskiego. Rzadko który z tłumaczy — z wyjątkiem np.: Igora Sikiryczkiego, władającego gruzińskim — poznaje, powiedzmy, kirgiski, ormiański, aby przekładać z oryginału. Czy u radzieckich pisarzy, tworzących w tych nie znanych prawie Europie językach, obserwuje się dążenie, aby ich dzieła przetłumaczone zostały na rosyjski, otwierający im drogę do czytelników reszty świata?

J.B. — Niektóre narody posiadały jedynie literaturę mówioną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, alfabet otrzymały za władzy radzieckiej. Te literatury rzeczywiście rozwinęły się bardzo i są w pełni równoprawne z rosyjską. Język rosyjski ma u nas takie znaczenie, jak kiedyś łacina, która łączyła ludzi. Pośrednictwem tego języka sprawiło, że znany jest Czingis Ajmatow z Kirgizji, Dagestańczyk Rasul Gamzatow z jego powieścią „Mój Dagestan”, Moldawianin Ion Druce z wyborem opowiadań i powieści „Brzemie naszej dobroci”. Niektórzy przekładają własne książki na rosyjski, aby mogli je czytać wszyscy ludzie radzieccy, tłumaczący Europejczycy i inni. Nasza, białoruska twórczość nie należy do młodych, przeciwnie, sięga XIV wieku, istniała i rozwijała się w dalszych wiekach (w ub. r. obchodziliśmy 100-lecie urodzin Janki Kupaly i Jakuba Kołasa), a nie wszystkie przekłady, choćby i w Polsce, dokonuje się z oryginału. Przejdźmy do współczesnych pisarzy białoruskich. Wasył Byków napisał nową powieść pt. „Znak biedy”; Iwan Mielez (niedawno zmarły) — „Ludzi na bagnach” (przełożył Eugeniusz Kabat); Iwan Szamajkin — „Głęboki nurt, śnieżna zima”; Władysław Karatkievicz wydał w konwencji kryminalnej — w dobrym tego słowa znaczeniu — historyczną powieść o Powstaniu Styczniowym pt. „Kłosa pod sierpem” oraz „Czarny zamek olszański” (obie warte zainteresowania polskich wydawców); spod pióra Wiktora Każki, pierwszorzędnego pisarza, wyszły ostatnio książki: „Rok przestępny” oraz „Sad we wsi Sloboda”. Aleś Zuk w powieści „Polowanie na ostatniego żurawia” nawiązuje do wspomnianego przeze mnie tematu ekologicznego. No, a Michaś Stralcou, Aleś Adamowicz i wielu innych prozaików naszej republiki? Notujemy rzeczywiste wielki rozwój...

T.J. — W czasie naszych, polskich sporów o charakter i kształt Związku Literatów Polskich niejednokrotnie przywoływało się i przypisywało termin: autorytet moralny pisarza, pojmowany zresztą wieloznacznie. Jak ta pojęcie funkcjonuje w Związku Radzieckim?

J.B. — Nie chcę, ze zrozumiałych względów, łączyć mojej wypowiedzi ze sprawami polskiego środowiska literackiego. Powiem, jak ja tę sprawę rozumiem, jak ją u nas ujmuję. Pojęcie autorytetu moralnego pisarza sięga u nas głęboko, przede wszystkim w literaturze rosyjskiej. Przywołujemy nazwiska Czechowa, Dostojewskiego, Tolstoja i innych wielkich pisarzy. Autorytet ten to nie tylko osobista sprawa pisarza, to także sprawa czytelnika i całej literatury. Nie oceniam autory-



Fot. Jacek Mirosław

telu twórcy według składanych deklaracji, a głównie na podstawie dzieł, szukam jakiegoś rozpoznawczego znaku. Biorę nową książkę nie znanego mi literata, czytam i zapytuję: kimże ty jesteś, nowy autorze? Tłumaczyłem Prusa, a przy czytaniu nowel, choćby „Antka”, czy cisnęły mi się same do oczu. Stałem przede mną moje własne dzieciństwo. To uczyniło, w moim odczuciu, autora „Płacówki” i „Lalki”, wielkim pisarzem. Mickiewicz mówi o cierpieniu za miliony, mówi to z taką siłą, iż nie sposób mu nie uwierzyć. Można bawić się literaturą z mniejszym czy z większym skutkiem, ale nie jest ona zabawą, szczególnie w naszych, skomplikowanych czasach. Powinna ona zgłębiać przeżycia ludzkie, istotę człowieczeństwa — nie bójmy się słów tak wielkiej wagi. Musi ją cechować miłość do człowieka, do prawdy, do życia. Czytelnicy pragną tego, a ich odczucia w tej mierze decydują o rzeczywistym i trwałym autorytecie moralnym pisarza. Tak to rozumiem.

T.J. — Wróćmy jednak do pańskiej twórczości. Może zechce pan pokrótce omówić tę część dorobku, która u nas nie została przetłumaczona; co polscy tłumacze i wydawcy nam z tej twórczości udostępnili? Wreszcie, co pan albo pańscy koledzy zamierzają z polskiej twórczości przetłumaczyć na język białoruski?

J.B. — O całym moim dorobku musiałbym długo mówić. Niedawno ukazało się wydanie zbiorowe w pięciu tomach (130 arkuszy autorskich) pt. „Wybór utworów”, z których więcej niż połowa nie jest w Polsce znana. W 1985 roku ukazało się u nas moja nowa książka, składająca się z powstających właśnie opowiadań, nowel, miniatur i esejów. I tu, jak w prawie każdej, są polskie motywy. Polska jest częścią mojego życia, częścią mojej biografii. Ograniczmy się jednak do gruntu polskiego. Zeznamy, co już się ukazało, a czego może z mojej strony czytelnik polski w najbliższym czasie oczekiwać. Opublikowano w Polsce: „Patrzeć na trawę” (przekład — Maciej J. Kononowicz), „Świat daleki i bliski” (Ewa Rojewska), „Witraże” (Sokrat Janowicz), „Ja ze spalonej wsi” — współautorami są Aleś Adamowicz i Włodzimierz Kołeszniak (Jerzy Litwiniuk). Anna Sobecka przetłumaczyła dla Wydawnictwa Literackiego zbiór nowel pt. „Świt ujrzany z daleka”.

Tłumaczyłem i wydawałem opowiadania wybrane Prusa pt. „Grzechy dzieciństwa”, Orzeszkowa, Konopnicka, wspomniany już zbiór polskich nowel współczesnych „Sad”, teraz pracuję nad przekładem opowiadań Józefa Ozgę-Michalskiego. Kilka dni temu ukazał się w Mińsku wybór 160 utworów Syrokomli w tłumaczeniu kilku naszych poetów. Wiele polskiej poezji przyswaja, jak dawniej, Maksym Tank.

T.J. — Właśnie, co słychać u pańskiego kolegi, Maksyma Tanka, który już w roku 1934 drukował w „Kamieniu”?

J.B. — Tank pracuje nadal owocnie, drukuje dużo wierszy, które są dobre i wspaniałe. U nas mówi się: Tank jest najmłodszym z młodych poetów, wciąż rozwija swoją poezję. Nasi młodzi uczą się od niego.

T.J. — Czy chciałby pan podjąć jakieś zapadnięcie, o które nie pytałem, a uważa je pan za istotne dla tej rozmowy?

J.B. — Przeczytałem o jubileuszu „Kamena” oraz o jej przejściu na tygodnik o większej obfitości. Dołączam się do życzeń z całą serdecznością. Szczególnie zainteresowała mnie wasza deklaracja o powrocie do dawnej tradycji upowszechniania literatury narodów słowiańskich, ich wzajemnego zbliżania. Pragnąłbym, aby i dla pisarzy białoruskich otworzyły się wasze łamy. I szczerze patrząc, chciałoby się wierzyć, że poezja i proza białoruska stanie się godna zainteresowania tłumaczy i czytelników polskich w ogóle, że w przyszłości: będzie lepiej niż dobrze, zawierać się będzie prawda o naszej przyszłej współpracy.

T.J. — Oby! Serdecznie dziękuję za rozmowę.

KOLCHOZOWY koniuch wujek Arciom prowadzi ulicę bare koni i swoim wozem sam ze sobą rozmawia na głos. Gniady i Wiercięta, które przemarły nieco przy kuzni, chętnie pobiegłyby teraz pobrykać, gdyby nie ta starość w ciężkich waleńkach, mocno trzymająca cugle ich uderek. Na dodatek starość ta mówi coś i niezręcznie byłoby, rzecz jasna, nie słuchać.

— Pomyśl tylko młokos jeden, on traktorzysta — raz po raz wymachuje wujek lewą, wolną ręką. — Łaskę zrobił: zatrzymał się przy naszej kuzni, poprawił jakąś tam cholerę w swojej maszynie, to ty zostawiaj każdą inną robotę i reperujemu. On tof wiezie do POM-u A my, twoim zdaniem, co — nie wozimy? Nasza kolej przyszła, to ty nas podkuj. Traktor postoi a koniom — czekać zimno... Też mógłbym się zdenerwować...

Gniady i Wiercięta stają pewnie ostrymi sztyftami nowych podków po śliskich nierównościach zimowej drogi i najwyraźniej rozumieją całe to wzburzenie. Rozumieją i współczują starem. Gniademu cały czas chce się potrzebować chrampami o rudy, wyszmelcowany rękaw dziadkowego kozucha, a siwy, ruchliwy Wiercięta od czasu do czasu porusza długą miotłą ogona. Much nie ma, więc najwidoczniej — ze współczucia.

— My, powiada, to technika — mruczy Arciom — nam, powiada, wszędzie należy się największy szacunek. A u was, powiada, konie — wilece mięso. I jeszcze żeby szczyrzy. Sam jesteś mięso! Siedzi na traktorze — gładki, czerwony, a widzi — czegoś tam nie dopatrzyłeś w maszynie, kiedy przyszło się stanąć na gładkiej drodze. U ciebie — jeden koń, a u mnie aż trzydzieści. To ci nie kluczami pobrzeczeć, to przecież cały tabun! I wszystkie żywe. I żaden nie zatrzyma się ani w hołobach, ani w plugu. Bo do wszystkiego potrzebne oko.

W stajni, gdzie dzisiaj odpoczywają cztery inne konie i już trzeci dzień stoi otarta żrebka Gwiazdka, wujek Arciom dalej mówi, nie mogąc w żaden sposób uspokoić się. Gładkie konie chrupią ilustą sieczkę, raz po raz łakomie przebiegając wargami w poszukiwaniu „skwarek” — grudek mokrą maki, posmaktują wodę z dna glinianego koryta i wszystkie, jakby się zmówiły, milczą, nie odpowiadając wujkowi Arciomowi.

— U mnie o, Iwana Cierach, też taki jeździec — mówi. — Otarł Gwiazdeczkę i przyprowadza. Weź, mówi, niech postoi. „Niech postoi!” Co to, ja ci ja dalem taką? Ode mnie wysła — jak lalka. To jeszcze młode żrebce, nie była dotąd w zaprzęgu. Żeby wesoło biegła — to lubisz, ale żeby dokładnie zaprzęgać — to nie.

Stary wstaje ze łobu i, człapiąc waleńkami po słomie, podchodzi do chorej.

— Ja ci, Gwiazdeczko, jeszcze razik—dwa posmaruję, postoisz i przejdzie. Dobrze, że w porę zauważył...

Na dotyk ręką do zaskorupiałej rany delikatna

Gwiazdeczka reaguje, nierzym na muchę, kapryśnym marszczeniem skóry a potem z niezadowoleniem tuli uszy.

— I ty panienko przeciw mnie? Ty na swojego „traktorzystę” piszesz na Cieracha. Też umie zatrzymywać się na równej drodze, jak tamten. My, powiada technika A tam patrz — czegoś nie dojrzeł, czegoś nie dosmarował — i masz tobie, weź. W tamtym roku jeden taki kpiarz orał u nas Och ja bym mu oczy przetarł. Omijak na omijak!... A potem cóż — oset w jęczmieniu aż posiękuje. Poszły dziewczęta plewie i przez twoją

— Śmieję się, śmieję — znów nie wytrzymał stary. — Nie chciałem ja z takim jak ty śmiać się, ale widocznie trzeba będzie Ance siewna za pasem a traktor mu stanął na równej drodze. A u mnie, bratku, nie tak. U mnie i uprząż jak trzeba, i konie jak należy. Popatrz tylko na moją Pawicę!

— Gory poklepył rasową, dobrze utrzymaną klacz po gładkiej błyszczącej szyi.

— Już pojdiesz do lasu, odpoczęłaś — powiedział — Wszystkie pójdziesz, tylko Gwiazdeczka postoi. Nie wam się nie stanie, nie patrz tak.

Zazdrość

Janka Bryl

głupotę całe ręce pocinały... A urodzaj jaki? Co, może powiesz, że technika oka nie potrzebuje?

Jak zawsze czując w łobie owies albo jeszcze bardziej kuszący, kwaśny zapach owsianej omasty, w słomie na gorze zaszuwały szczury. Jeden, najbardziej niecierpliwy, osunął się po ścianie na dół i cichutko umościł się na sieczce. Gniady przychnął, niezadowolony z takiego wstępnego, śmierdzącego sąsiedztwa, a potem do reszty oburzony, tupnął nogą. Arciom wcześniej się domyślił, niż zauważył szczurę, a potem zobaczył go i natychmiast przybrał czujną postawę. Ech, żeby tak mieszało było pod ręką, to by go klapnęli!

— Aha, sukin kot! — krzyknął na całą stajnię, a szczur jak porażony piorunem hycnął na słomę.

— Pasożycie ty nieszczęsny — kłął stary, idąc do Gniadego. — One u mnie z brudnych rąk nawet wody nie napiją się, a ty... No, czekaj, chyba nie dostanę ja na wasze głowy jakiejś trutki. Ty mi tu, licha na twoją mordę, karmy paskudzi nie będziesz. Jedz, Gniady, tutaj, a stąd — lepiej pod nogi wygrzebiej. One, mówią, różne choroby mogą roznosić. Na wszystko, bracie, potrzebne jest oko!

Arciom popatrzył na słomę, którą na jesieni zapchał był strych, a potem znów przysiadł na skraj łobu, pomiędzy Gniadem i Pawicą, i zaczął rozmyślać o tym, że nie wszystko jeszcze w nowej stajni doprowadzone jest do całkowitego porządku. Ot chociażby te szczury... Podumał, podumał, a potem nie wiadomo dlaczego wydało mu się, że tamten zdrowy, czerwonołocy chłopak z traktora dowiedział się o tym nieporządku i śmieje się znów, jak przy kuzni, na całą kolchozową ulicę.

Nie wierzę temu, to dureń wymyślił, że od roboty konie zdychają. Wazystko, bracie, od dopatrzenia zależy, na wazystko trzeba mieć oko.

O świecie następnego dnia wszystkie konie poszły do lasu. W stajni została tylko Gwiazdeczka. Dając w niedbale ręce Iwana Cieracha czulego, ruchliwego Wiercięta wujek Arciom jeszcze raz zlął Iwana a wszystkim pozostałym przypominał raz jeszcze — dlaczego, z czyjej winy taki oł piękny koń stoi beczynnie w tak gorący czas. A potem znów przysiadł na skraju łobu, żeby troszkę odpocząć.

— My, powiada, technika — zwierzył się Gwiazdeczce, żeby jeszcze jednym argumentem osadzić śmiech młodego traktorzysty. — Czasami w oddziale oczy wypatrzmy, zanim doczekamy się samolotu z bronią. Ty, Gwiazdeczko, nie oamiętasz, wtedy jeszcze jako osesek biegales orzy Pawicy. Też dawali — jednemu automat albo i cały kaem, a drugiemu — karabin. Śmieją się z chłopca tak jak ten przy kuzni: „Pochodź jeszcze trochę z ożogiem...” A na dobrą sprawę nie ma tu nic do śmiechu: inny i z karabinem, że tylko patrzeć... Wtedy u nas, Gwiazdeczko, wojna była, a teraz już i wiosna nie za gorami. Pójdziesz i ty, nie patrz tak. Ja cię w kiepskie ręce nie dam. A wszystko to potrzebne i nie takie trudne, byle tylko wszędzie dobre oko było.

(Utwór ze zbioru opowiadań pt. „Świt ujrany z daleka”, który ukaże się w roku przyszłym nakładem Wydawnictwa Literackiego w przekładzie z białoruskiego Anny Sobeckiej).

GAŁCZYŃSKI

Dokończenie ze str. 1

Pisać o Gałczyńskim entuzjastycznie dziś, wygląda na egzaltację. Należał do poprzedniej formacji kulturalnej. Dziś, kiedy świadomość inteligentną atakują (jeszcze) Białoszewski, Kornhauser, (jeszcze) Grochowiak i Sliwoniak, a już całkiem źle — utwory wynikłe z poetyki tzw. słowa rozkojarzonego, albo — jeszcze gorzej — teksty najpocziwiej prozatorskie i niczego nie wyrażające, a zamierzone na ścignięcie ku sobie tego charyzmatu — jaki jest udziałem poezji, do której amikoznośko chcą się zaliczać — atencja dla Gałczyńskiego mimo wszystko ma tylko coś z kurtuazji. Panuje przekonanie: o ile lepszy jest Pietrzak, o ile lepsza (rzeczywiście świetna) Szymborska, o ile lepszy Brzozowski — dyżurny dostawca tekstów dla zespołu „Kaczki z nowej paczki”, o czym informuje „Radar”. Wprawdzie Gałczyński dostarcza sporo możliwości kabaretu, telewizyjnym showom, scenkom żartu i humbugu, ale nie bez „adaptacji”, czy „nowego odczytania”. Jak to swego czasu było z „Balladą” Słowackiego za sprawą Adama Hanuszkiewicza. Węć autor „Niobe” i „Wita Stwosza” istnieje w odbiorze czytelników trochę na zasadzie pobłażliwego szacunku, z jakim traktuje się np. wiek XIX.

Wskazówki na zegarze dziejów. Gdyby dziś Leśmian do redakcji jakiegoś literackiego pisma przyniósł „Łękę”, otrzymałby odpowiedź, że mgliście, że długa, że naiwna antropomorfizacja przyrody, a w ogóle mają tekstów na jakieś pół roku, więc proszą się zgłosić po upływie tego czasu. A co w rubryce „Odpowiedzi redakcji” otrzymałby Czechowicz? „Wyobraźnia, owszem, żywa, ale konkretyzacja artystyczna za mało zwarta. Te obrazy rozsanują się w nieodpowiedzialnych dygresjach, au-

tor nie panuje nad chaotycznym żywiołem lirycznym”. Jasnorzewska-Pawlikowska byłaby za bardzo narcystyczna, błąd polegałby na sprowadzaniu spraw ludzkości do rozmiarów jednostkowej ludzkiej egzystencji.

Czy taki los spotkałby i Gałczyńskiego? Może nie, ale byłby to Gałczyński przykrojony przez niepełną kompetencję czytelniczą na użytek kabaretów. Pierwszy plan liryki dalej zajmowałby ktoś żyjący, choćby jego pisarstwo z liryką raczej niewiele miało wspólnego.

Nie brakowało mu złorzeczeń i za życia. „Wiesz czy błazen” — takie tytuły spotykało się w prasie literackiej; znane jest powiedzenie Ważyka o drobnośleszczańskim kanarku, któremu trzeba ukreślić leć, ćwierkającym w wierszach Gałczyńskiego; Przybóś, kiedykolwiek spotkał młodego poetę z miasta X, pytał z przekąsem, czy jeszcze u nich panuje entuzjazm dla tego strofkarza, a nie cofał się nawet przed określeniem „śmietnik poetycki”. Ze tzw. ograne rekwiizyty: księżyc, bałajka, słowik. Toż właśnie. Tylu z was, piszących wiersze, patrzyło na księżyc, a mimo to przyszedł ktoś, komu udało się na ten temat powiedzieć coś nowego. Utworzyć nowy wyraz z abecadła tak zużytego. Kto w tym widzi powód do zarzutu, dowodzi, że z liter nie umie złożyć wyrazu. Węć komu wstyd?

Końcowe lata czterdzieste i wczesne pięćdziesiąte. Wtedy nastąpiło apogeum tej poezji, która nie bała się zażyłości nawet z „niepoważnymi”, nelieterackimi pismami. Gałczyński ostro występował przeciw izolacjonizmowi profesjonalnemu.

Węć z leżką patrzy nostalgicznie na sztukę dobrą, nie hermetyczną

— pisał w wierszu „Czterdziesty szósty Kraków”, a w wierszu „Ars poetica”, w części zatytułowanej „List do

krawca Teofila” wyszydza „krawcomana” (grafomana), co dziełek swoich mglistą idiotycznością podsuwa recenzentom, klnąc

Publiczność.

Powstało więc przekonanie, że poeta „się nie szanuje”, że „rozmięcia na drobne swój talent” itp., czemu przeczy choćby ilościowy rozmiar jego spuścizny. Nie dożył pięćdziesiątki. Efektem czterdziestu ośmiu lat jest 3490 stron pism (pięć tomów wydania „czytelnikowskiego”). Ale nie o samą arytmetykę chodzi. Każdy, choćby najdrobniejszy okrucieństwo pod jego pióro zawiera cały smak jego poezji, nie nigdy nie było „puszczone”, trzeba tylko umieć czytać. Ni mniej ni więcej, tylko Kazimierz Wyka... Napisał kiedyś (rok 1935) Gałczyński wiersz „Buty szewca Szymona”. Treść jest taka, że szewc Szymon uszył parę butów złotą nitką muzyki, skutkiem czego były one wrażliwe na fałsz. A tu przychodzi agitator i wstawia — jak to się później mówiło — „mowę trawę”. Jest strofa:

Stuchają krawcy, nauczyciele,
co to za bujda brzęczy w niedzielę,
o pracy, płacy bujanie gości.
szarym człowieku i miłości ludzkości.
Otóż Wyka kręci nosem: niestaranność, bylejakość, pośpiech, ostatni wers tej strofy nie jest zgrany rytmicznie z poprzednimi. Mon Dieu! A nie słyszy się w tym dysonansu tkwiącego w słowach agitatora? Nie widać, że jego dęta wypowiedź wystarcza poza zdrowe kategorie audytoryum, jak ówczesny wers poza rytmikę całej strofy? I że to zostało osiągnięte krótkim zabiegem technicznym, w dodatku jakże trafnie? Na tym przykładzie można zauważyć, że poezja to jest coś, co umyka ujęciom intelektualnym, choćby najkunsztowniejszym. Co stwierdził zresztą sam Gałczyński:

Paganini zdanie drwiące
zamożnił jadąc w łodzi



Fot. CAF

ze sztuka jest jak słońce: recenzentom nie nie szkodzi.

Od jakiegokolwiek strony kontaktować się ze zjawiskiem, któremu na imię „Gałczyński”, od strony liryki tzw. czystej, od strony „Listów z fiołkiem”, „Zielonej gęsi” czy nawet pism prozą, zawsze trafimy na niezwykły walor tego pióra. Mówiąc, że Gałczyński jest oryginalny, to popełniać banal. Zresztą nie wystarczy i wprost zbędne jest zapewnienie krytyczno-literackiego analityka. To jest do odczucia bezpośrednio w lekturze, dlatego mimo fluktuów największej daty współczesności ta poezja nie przestaje narzucać się czytelnikowi, jak każda prawdziwa. A literki KIG dalej zostaną hasłem wywołującym niebывалых zauroczeń i zadum.

Zygmunt Mikulski

kamena

Polskość nad Sekwaną

Dokończenie ze str. 1

kie oraz księgarnie polskie. Zmieniająca się sztafeta wychodzących pokoleń spowodowała, iż w tych warunkach dla kultury narodowej placówkach wciąż bije polskie serce.

Szeroką falą rozlała się we Francji w okresie dwudziestolecia międzywojennego polska emigracja zarobkowa. Około 700 tys. polskich robotników pracowało w tych latach w kopalniach Nordu i Pas-de-Calais, w stalowniach Lotaryngii, na farmach Pikardii i Burgundii. Wychodzący powołali do życia wiele polskich towarzystw i organizacji społeczno-kulturalnych. Dzięki temu, jak również zwartemu, zwłaszcza na północy Francji osadnictwu, polskim szkołom i parafiom, utrzymywali się w swej polskości.

Trzeci okres w dziejach Polonii francuskiej rozpoczął się po II wojnie światowej i trwa do dziś. Do Francji napłynęli wtedy rozbitek wojenny: przymusowi robotnicy, więźniowie, jeńcy, żołnierze z polskich sił zbrojnych na Zachodzie, poszukujący tu lepszej przyszłości. Niewielki procent stanowili wśród nich emigranci polityczni, nie godzący się z nową rzeczywistością w Polsce. Uzupełnili ich ci, którzy opuścili kraj po r. 1968 i w dwóch ostatnich latach. Natomiast dość liczne, chociaż nieoficjalne wychodźstwo najnowsze z Polski do Francji z lat 60. i 70. to tzw. emigracja dorobkowa.

Zróznicowana historycznie, a więc i pokoleniowo, Polonia francuska jest poddawana przebiegającym wprawdzie nierównolegle w stosunku do poszczególnych generacji, lecz stałym procesom asymilacyjnym. Najbardziej widocznym tego znakiem jest postępujący wśród społeczności polonijnej zanik znajomości języka polskiego. W odniesieniu do emigracji międzywojennej proces ten jest charakterystyczny dla trzeciego i czwartego pokolenia i na większą skalę rozpoczął się od końca lat 60. Natomiast w obrębie nowej, powojennej emigracji, zwłaszcza w typowych dlań małżeństwach mieszanym, w których matką jest Francuzka, przebiega on znacznie szybciej. Tutaj już dzieci, a więc drugie pokolenie emigracyjne, zazwyczaj nie tylko nie mówią, ale nawet nie rozumieją po polsku.

Są to procesy ciągle, nasilające się, dlatego niezmiernie trudno odpowiedzieć dzisiaj na zasadnicze pytanie: — Jak liczna jest Polonia francuska? Różne być mogą bowiem także kryteria definicji tego pojęcia i różne w związku z tym można przytoczyć, szacunkowo zresztą zwykle określane, liczby i wielkości. Z prawnego punktu widzenia, gdy weźmiemy pod uwagę obywatelstwo, to ci, którzy pozostali tu przy polskim, nie przekraczają chyba 20–30 tysięcy. Gros bowiem emigrantów naturalizowało się, tj. przyjęło obywatelstwo francuskie. Niektórzy z nich uważają się jednak jeszcze za Polaków. Według pochodzących z początku lat 70. statystyk Komitetu Wyborczego Polaków Naturalizowanych — było ich wtedy ok. 100 tys. Statystyki kościelne mówią natomiast, iż w życiu 40 polskich parafii istniejących we Francji uczestniczy jeszcze ok. 200 tys. osób. W tej sytuacji najbardziej chyba miarodajne wydają się współczesne szacunki polonijne, według których mieszka obecnie we Francji ok. 1,5 miliona Francuzów polskiego pochodzenia. To ostatnie pojęcie odzwierciedla bowiem w najszerszym stopniu te zasadnicze procesy, które zachodzą obecnie wśród nadsekwanańskiej Polonii.

Zasadniczymi są trzy nurty. Pierwszy z nich to całkowita asymilacja, wtopienie się w społeczność francuską. Oznacza to stałe uszczuplanie stanu Polonii czy — szerzej mówiąc — tych, którzy przyznają się jeszcze świadomie do swych polskich korzeni. Drugi, przeciwny nurt i bieżący polonijnych losów to ci, którzy mimo utraty nawet znajomości języka polskiego, trwają mocno przy dawnych formach i instytucjach polonijnych, dzięki jakim tak skutecznie, przez prawie pół wieku, społeczność ta potrafiła zachować

swą polskość. Przybyszowi znad Wisły wypadła skłonić głowę przed tymi, którzy tak niestrudzenie pracują na narodowej niwie. Ale obiektywna obserwacja i analiza sytuacji prowadzi do wniosku, iż te formy polonijnej aktywności przekroczyły już dawno swój zenit.

Oto przykład dotyczący przemian, jakie zaszły na przestrzeni ostatnich lat w Katolickim Związku Młodzieży Polskiej. Jeszcze w latach 50., demonstrując swe osiągnięcia na dorocznych zlotach, gromadził na nich po 10 tys. uczestników. Ostatnio odbył się XXIX zlot tej organizacji w Vaudricourt. Rozpoczął się od mszy, która zgromadziła ok. 70 członków związku; wraz z rodzicami, przyjaciółmi i byłymi członkami tej organizacji wzięło w niej łącznie udział ok. 350 osób. Popołudniowe, barwne występy polonijnych zespołów folklorystycznych oglądało ok. 1500 osób, większość z nich stanowili jednak zwykli widzowie.

Podobnych przykładów, jak ten z Nordu, dostarczają także losy organizacji i instytucji polonijnych rozwijanych nader żywo przez emigrację po II wojnie światowej na terenie Lotaryngii. Rozmawiałem na ten temat z p. Luizą Drewniok z Farébersviller koło Forbach. Jako nauczycielka w szkole polskiej, wraz ze Zdzisławem Balażuszyńskim i Kazimierzem Pełczyńskim, rozwinięła szeroka działalność wśród młodzieży polonijnej, organizując drużyny harcerskie i liczne zespoły polonijne. Sama p. Drewniok przez wiele lat prowadziła z ogromnym poświęceniem dwa zespoły pieśni i tańca ludowego: „Zorzę” i „Zorzeńkę”. Jeszcze do początku lat 70. koncertowały one z ogromnym powodzeniem wraz z innymi zespołami polonijnymi, biorąc udział w barwnych dniach polskiego folkloru w Nancy i innych miejscowościach Lotaryngii. Szczegółowo, pokazuje mi nie wyłącznie jeszcze fotografie, śpiewniki i zapisy nutowe, programy występów. Temu drugiemu pokoleniu polonijnemu zdołała przekazać wraz z polskim słowem i melodią najcenniejsze wartości narodowej kultury i tradycji. Ale jej wychowankowie wydorosli, założyli własne rodziny i dzisiaj aktywność polonijna na tym polu znacznie przegasa. Tu i ówdzie podtrzymują ją jeszcze nowi, pojedynczy, młodzi entuzjaści, jak np. p. Jean-Marie Zimoch z Rombas. Gdy starsze pokolenie odeszło z zespołu „Krokus”, który prowadził, rozpoczął pracę od początku z dziećmi.

Między Scyllą świadomej i całkowitej rezygnacji z polskości a Charybde nie zwiastującej sukcesów walki o nią do końca, istnieje wyjście. Tym trzecim nurtem, zaznaczającym się coraz wyraźniej w życiu Polonii francuskiej, a obecnie uzasadnianym także teoretycznie, jest jej integracja ze społecznością francuską z zachowaniem polskości.

Jednym z pierwszych propagatorów tej drogi był Jerzy Jankowski, znany dziennikarz i działacz polonijny z lat jeszcze międzywojennych, który po II wojnie światowej pozostał we Francji. Gettu emigracyjnego i asymilacji, która jest jego przeciwną konsekwencją, przeciwstawił koncepcję świadomej integracji ze społeczeństwem francuskim — z zachowaniem własnych, narodowych wartości, zwłaszcza w sferze kultury. To on właśnie założył w 1953 r. Komitet Wyborczy Polaków Naturalizowanych, który w 1976 r. zmienił swą nazwę na Communauté Franco-Polonaise (Wspólnotę francusko-polską). Prezesurę tej organizacji objął po Jankowskim prof. Henryk Adamczewski, wykładowca na paryskiej Sorbonie i anglistyk. Na zorganizowanym z jego inicjatywy, w lipcu 1979 r. w Paryżu, pierwszym letnim uniwersytecie dyskutowano nad zasadniczym dla tych środowisk pytaniem: — Jaka jest przyszłość nas, Franko-Polaków? A oto konkluzja, do której doszli: „Powinniśmy uczestniczyć w życiu kulturalnym jako obywatele francuscy, a nie jako emigranci lub uchodźcy polityczni, a jednocześnie uczynić wszystko, aby zachować znajomość języka polskiego, będącego środkiem komunikacji między dwiema kulturami europejskimi”. Zasada ta oznacza zgodę na integrację, ale równocześnie broni przed całkowitą asymilacją, przed utratą znajomości ojczystego języka, kultury i tradycji.

Jest rzeczą istotną, iż na tak lub podobnie sformułowanych płaszczyznach podejmowane są dzisiaj w wielu kręgach polonijnych we Francji konkretne inicjatywy. Oto krótki o nich raport z Nordu i Lotaryngii.

Od 1979 r. w starym skupisku polonijnym na północy Francji działa Club Culturel Franco-Polonais „Polonia”, zrzeszający kilkudziesięciu przedstawicieli inteligencji z Lille i okolic. Pod energiczną prezesurą prof. Edmonda Marka, kierującego do niedawna sekcją polonistyczną uniwersytetu w Lille, rozwija nader wszechstronną działalność, organizując comiesięczne odczyty i wieczornice francusko-polskie poświęcone polskiej kulturze literacko-artystycznej oraz problematyce polonijnej, które są następnie publikowane w formie broszur. Odczyty odbywają się w Roubaix, jednym z większych do dnia dzisiejszego ośrodków polonijnych o charakterze robotniczym. W tej miejscowości oraz w Neubauer klub zorganizował także kursy języka polskiego.

Innym wydarzeniem było ukazanie się w Lille pod koniec ubiegłego roku nowego miesięcznika: „Le Forum de la polonité”. Polonité — polskość, to charakterystyczny dla tych tendencji termin, neologizm w języku francuskim, wypierający dawne pojęcie Polonii. Założycielem i redaktorem miesięcznika jest p. Jean Leśniewski, wszechstronnie uzdolniony i wykształcony przedstawiciel drugiego pokolenia emigracyjnego, z racji swych specjalności (a są nimi informatyka i urbanistyka) mocno osadzony w zmieniających się szybko realiach życia społecznego Francji. W edycji „Forum” pomaga mu jego małżonka, p. Chantal Briet, a ostatnio nawiązał z nim współpracę p. dr Włodzimierz Rutkowski, młody utalentowany filozof i polonista, dysponujący świetnym piórem. Dobry papier, doskonała oprawa graficzna i dynamiczny układ kolumn już na pierwszy rzut oka znamionują w pełni nowoczesne koncepcje redakcyjne tego zespołu.

Naszą ambicją, powiedział mi p. Leśniewski, jest, aby „Forum” służyło wielkiej idei, mówiącej, iż my, Francuzi polskiego pochodzenia, jesteśmy także nosicielami drugiej, oryginalnej kultury, która może również wiele przynieść społeczeństwu francuskiemu.

Owa propaganda polskości, której służą łamy miesięcznika, ogniskuje się wokół spraw związanych z jednej strony z literaturą i sztuką, z drugiej — z życiem politycznym. Wiele stron „Forum” poświęconych jest także historii, podporządkowanej zasadzie rozbudzenia pamięci kolektywnej o przeszłości i pochodzeniu Polonii francuskiej. Wprawdzie w kwestiach dotyczących współczesnych problemów polskich miesięcznik ten nie potrafił się wyzwolnić spod wpływu powielanych tu powszechnie stereotypów, to przecież biorąc pod uwagę jego zasadnicze funkcje, można wiązać z nim szansę na odegranie pozytywnej roli w podtrzymaniu zanikającej już wyraźnie od lat kilkunastu wśród młodych kręgów polonijnych świadomości o swym pochodzeniu.

I klub, i miesięcznik mogą tu liczyć na istotne wsparcie o charakterze intelektualnym ze strony rozwijającego się wyraźnie ostatnio ośrodka naukowego, jaki stanowi Centrum Studiów nad kulturą polską uniwersytetu Lille III. W aktualnym programie badawczym centrum znajduje się także problematyka regionalna, związana z przeszłością i teraźniejszością wspólnoty francusko-polskiej z departamentów Nord i Pas-de-Calais. Duża w tym zasługa obecnego dyrektora centrum, prof. Daniela Beauvois, szczerego przyjaciela Polaków i Polski, l'un des plus polonais des Français, podążającego dzisiaj tymi szlakami, które w naszym stuleciu wytyczyli między Sekwaną i Wisłą Rosa Bailly i Paul Cazin. Znawca dziejów i kultury polskiej, zwłaszcza epoki Oświecenia, ten wybitny francuski uczony współpracuje zarówno z klubem jak i wspomnianym miesięcznikiem. Na łamach „Forum” wystąpił on z dramatycznym listem otwartym pod znanym, staściowskim tytułem: *Przestrogi dla Polonii*.

„Droży przyjaciele — pisze prof. Beauvois zwracając się do dzisiejszej Polonii francuskiej — wasza śmierć kulturalna jest bliska, jeśli nie roz-

poczniecie akcji przeciwdziałającej”. Zdaniem uczonego francuskiego, należy przede wszystkim wzmożyć starania i zabiegi nad utrzymaniem znajomości języka polskiego. Wskazuje on na nie wykorzystane dotąd zupełnie możliwości wynikające z uchwalonego we Francji w 1981 r. prawa o językach regionalnych, pozwalającego na naukę języka polskiego w szkołach. „Odważcie się pozostać sobą — wzbogacie nas swą odmiennością”. To koncowe zdanie z artykułu prof. Beauvois świadczy o zainteresowaniu, być może na razie w przyjaznych Polonii francuskiej kręgach intelektualnych, jej dalszymi losami.

Kolejnym warunkiem podtrzymania swej odrębności jest stała łączność między Polonią a matczyną. Piękne przykłady, jakie zaobserwowałem w Lotaryngii, świadczą wyraźnie, iż mimo wielu obecnych trudności jest ona kontynuowana.

P. Stanisława Domina z Verdun, prezesa miejscowego Związku Kombatanatów Polskich, do ofiarnej i wyjątkowej działalności pobudził ostatnie kłopoty naszego kraju. Inicjował i organizował liczne transporty darów, zwłaszcza leków. Trafiały one bezpośrednio do klinik Lublina i Wrocławia. Obok pomocy w skali masowej, wrażliwy na ludzkie nieszczęścia działacz prowadził rozległą korespondencję i wysyłał leki poszczególnym osobom. Uśmiechając się, pokazuje mi tak oto zaadresowany list z kraju: P. Stanisław Domin, konsul polski w Verdun.

W Forbach działa od ubiegłego roku stowarzyszenie francusko - polskie: L'Amitié Lublin. Założył je, p. Michel Samotyja, uczony nasz miastem, które wielokrotnie ze swą małżonką Anne Marie odwiedzał. Wraz ze swymi współpracownikami: pp. Jean-Marie Smętkiem, Zygmunt Skibą i Tadeuszem Kaczmarkiem czyni on wiele dla ożywienia miejscowych kręgów polonijnych. Podczas mego pobytu w Lotaryngii koncertował w Forbach i okolicy zaproszony przez niego Zespół Pieśni i Tańca Ludowego UMCS. I tym razem, mimo iż na terenie tym występował przed kilku laty, odniósł olbrzymi sukces artystyczny. Ale nie tylko.

Gdy przed kilkoma laty po raz pierwszy zobaczyłem zespół UMCS — opowiadał mi w Creutzwald miejscowy działacz polonijny p. Marcinek — pojechałem po wielu latach wraz z rodziną do kraju. W Polsce mającej tak uspaniałą młodzież, swobodną, rozśmianą, wierną narodowym tradycjom, a równocześnie jakże współczesną, nie może być przecież, tak jak tutaj niektórzy twierdzili.

Zrobiliśmy dobrą robotę — mówi znakomity współorganizator tournée lublinian, p. Michel Samotyja. — Podczas koncertów i dzięki kontaktom z członkami zespołu, nasi rodacy przeżyli wiele pięknych chwil, a nasze towarzystwo zarobiło trochę pieniędzy. Dzięki tym funduszom będziemy mogli już w jesieni ruszyć z kursami języka polskiego.

Ci młodzi jeszcze wiekiem działacze polonijni wiedzą, czego chcą. Dzięki wyniesieniu Polaka na Stolicę Piotrową i ostatnim polskim wydarzeniom zwiększyły się zainteresowania Polonii własnym rodowodem. Tendencje te pragną wykorzystać, podejmując różnokierunkową działalność dla utrwalenia wśród nowych zwłaszcza generacji polonijnych świadomości polskiego pochodzenia, posiadania własnej, jakże bogatej, kultury i narodowej tradycji.

Czasy nie są łatwe, a ciężkie chmury przesłaniają europejski horyzont. Mimo tego w Nordzie i Lotaryngii nie upadają na duchu, pracują — inaczej już w wielu wypadkach, jak ich zdanie i ojcowie, bogatsi o nowe przeświadczenia i koncepcje. Czy okaza się one słuszne i korzystne dla Polonii, czy możliwa jest tak pojęta integracja ze społeczeństwem francuskim, a polonité — polskość uchroni przed asymilacją, pokażą czas i doświadczenie. Sygnalizując tutaj te nowe zjawiska w życiu Polonii francuskiej, uważam, iż kraj, jak zwykle w takich wypadkach, powinien wyjść im naprzeciw. Idzie tu przecież o wartości dla Polaków i nad Wisłą, i nad Sekwaną najważniejsze. O utrzymanie narodowych więzi.

Wiesław Śladkowski

Wśród plastyków

Miroslaw Derecki

„STRUKTURY” były dziełem Jerzego Ludwińskiego, ale nie mogły się narodzić, gdyby nie uprzednia działalność Koła Młodych Plastyków — wspieranego wiedzą i radą przez wykładowcę doktryn artystycznych na KUL, Jacka Woźniakowskiego — gdyby nie poczynania Klubu Młodej Inteligencji, Grupy „Zamek”, oraz fakt skupienia się wokół nich kręgu ludzi zainteresowanych, choć niekoniecznie związanych bezpośrednio z uprawianiem sztuki. Nie byłoby wreszcie „Struktur”, gdyby nie życzliwy stosunek do takiego pomysłu ze strony ówczesnego kierownictwa „Kamieny”.

Po warszawskim sukcesie — wiosną 1957 r. — Grupy „Zamek”, zaczęło być w kraju głośno o młodym lubelskim środowisku plastycznym, o Borowskim, Dzieduszyckim, Durakiewicz, Komen-deckim, Kiwerskim, Zwolińskim — „Sadleju”, Ziemińskim... Nakreślono nawet o „Zamku” krótkometrażowy film dokumentalny; jego autorem był operator Polskiej Kroniki Filmowej, często odwiedzający Lublin i zadowolony w klubie przy Krakowskim Przedmieściu 32 — Ryszard Wróblewski.

Ludwiński zamieszkał w Warszawie; zaczął tam wyrażać na coraz bardziej znaną krytykę i teoretykę sztuki. Cieszył się sympatią Henryka Szafrankowskiego, Mariana Bogusza, szczególnie zaś — Janusza Boguckiego, z którym współpracował w redagowanym przez Boguckiego „Życiu Literackim” — autonomicznym dziale „Plastyka”. Wówczas to wszedł także w kontakt z awangardowym środowiskiem plastycznym Krakowa. Stał się, nie wiadomo kiedy, postacią — nie tylko cenioną, ale i „modną”, redaktorzy pism kulturalnych dobiegali się, żeby pisał dla nich artykuły i recenzje, zapraszano go na prelekcje, odczyty...

Trudno byłoby określić jednoznacznie, jakie miał pióro — właściwie realizował się głównie w dyskusjach, rozmowach i wypowiedziach na temat sztuki. Był urodzonym propagatorem i animatorem poczynania artystycznych. Miał dar przekonywania ludzi, pobudzania twórczej inwencji oraz przedstawiania w atrakcyjny sposób swojego punktu widzenia. A przy tym był przystojny — szczupły, dobrze ostryżony; zwykle — w dobrze leżącym, „konwencjonalnym” szarym garniturze, co stanowiło dodatkowy atut. Wyróżniał się na tle młodej malarsko-krytycznej społeczności, noszącej się malowniczo i niekonwencjonalnie na sposób bywałców artystycznych piwnie Saint-Germain.

Wydało się, że właśnie w okresie współpracy z Januszem Boguckim zaczęło w Ludwińskim narastać pragnienie stworzenia podobnego, jak „Plastyka”, periodyku; Lublin najbardziej nadawał się do realizacji takiego zamierzenia, z „Kamienią” i Grupą „Zamek” — nie byli to już zresztą „amatorzy”; większość członków grupy została w ciągu ostatnich dwóch lat przyjęta, lub czekała na rychłe przyjęcie, do ZPAP.

Jurek przyjechał do Lublina wczesną wiosną 1959 r., a już 15 maja w podwójnym, 8—9 numerze „Kamieny” ukazał się pierwszy numer „działu plastycznego”, zwięzłego, duża, rzucająca się w oczy winieta — „STRUKTURY”. Winieta zaprojektował Włodzio Borowski. Wkładka miała cztery kolumny. W otwierającej numer nocie, jej redaktor pisał: „Oddając do druku pierwszy numer „Struktur” — działu plastycznego „Kamieny” — mamy nadzieję, że będą one towarzyszyły narodzinom nowego ośrodka plastyki, jakim może niedługo stać się Lublin. [...] Będziemy starali się propagować sztukę nowoczesną w całej skomplikowanej różnorodności jej zjawisk, nie ograniczając się do popierania żadnej z panujących tendencji. [...] Doskonale pamiętamy o precedensie, jaki stworzył Janusz Bogucki, który od dwóch lat z powodzeniem redaguje „Plastykę”, „Struktury”, opierając się na doświadczeniach swej krakowskiej prekursorki, mają ambicję nie być jej kopią. [...]”

Numer otwierał obszerny artykuł Aleksandra Wojciechowskiego — „Polskie malarstwo figuratywne młodego pokolenia”. Wiesław Borowski (nie mylić z Włodzimierzem) pisał „O aktualnych zjawiskach w rzeźbie”. Bożena Kowalska o II Ogólnopolskiej Wystawie Grafiki Artystycznej i Rysunku w Warszawie „Zachęcie”. Poza tymi autorami (warszawskimi) zamieszczały artykuły i recenzje młodzi krytycy lubelscy: Janina Stasiakówna — o Eugeniuszu Walejskim, Hanna Ptaszkowska — o im-presie na temat wystawy rysunków i szkiców malarskich „Od Młodej Polski do dziś” czynnej w Muzeum Narodowym w Warszawie. Maria May — recenzję z otwartej niedawno w Muzeum Lubelskim wystawy twórczości współczesnych grafików holenderskich. Były poza tym informacje o powstaniu na KUL-u grupy plastycznej „Inopis” (m.in. — Kieraciński, Strzałkowski, Wzorek) oraz o wystawie w salach lubelskiego BWA — grafiki Podolechowskiego. Sam Ludwiński ograniczył się w tym numerze do napisania artykułu o ocenianego przebiegu twórczości plastyków-amatorów, zorganizowanej przez Lubelski Dom Kultury na Zamku.

„Struktury” ukazywały się regularnie co miesiąc — do końca stycznia 1960 r. Zdolały sobie w tym pierwszym okresie istnienia zapewnić gro-no stałych współpracowników; drukowali tutaj autorzy tacy jak: Janusz Bogucki, Oskar Hansen, Aleksander Henisz, Andrzej K. Olszewski, Erna Rosenstein, a z młodszych — Wiesław Borowski, Urszula Czartoryska, Hanna Ptaszkowska, Mariusz Tchorek i inni. Wykraczały „Struktury” daleko poza wymiar lubelski, stając się w pewnym momencie najbardziej żywo redagowanym, poświęconym „słomce” — „pismem” ogólnopolskim. Prestiż „Struktur” podnosił jeszcze — prowadzony wspólnie przez Borowskiego, Czartoryską, Ptaszkowską i Ludwińskiego — dział „Wystawy”, dający krytyczny przegląd najciekawszych osiągnięć plastycznych w kraju. Wreszcie — zdobyły się „Struktury” na pierwszego stałego korespondenta zagranicznego: w numerze 1 (8) z 31 stycznia 1960 r. ukazał się na ostatniej stronie duży artykuł nad-słany, już z Francji, przez Tytusa Dzieduszyckiego — „Notatki z wystaw paryskich”...

W czasie, kiedy „Struktury” powstawały, a potem nabierały rozpędu, zaczęłam pracować przy urzędowaniu wewnątrz sklepu na RDM-ie, obok maj-jacej wkrótce otworzyć swe podwoje kawiarni „Tio-Top”. Projekt był dziełem Przemka Zwoliń-skiego, zarazem była to pierwsza jego realizacja „związkowa” — „Sadleju” w połowie czerwca 1959 r. został przyjęty do ZPAP. Przemek wziął również na siebie wykonawstwo, bo to się najlepiej opłacało finansowo; musiał mieć więc pomocnika do wszystkiego. A roboty było mnóstwo. Należało wykonać meble — stołki i półki na towar, lastrykowe lady dla sprzedawców; ścianę naprze-ciw drzwi wejściowych wyłożyć lustrzanymi taf-

lami. Najbardziej jednak efektywnym — i pracochłonnym — dziełem w sklepie miała być ogromna mozaika, pokrywająca całą ścianę na prawo od wejścia. Należało wypalić kilka tysięcy różno-kolorowych płytek, a później osadzić je na silnej zaprawie cementowej tak, aby powstała niezniszczalna, plastyczna kompozycja abstrakcyjna. „Sze-f” umiał robić wszystko, znał się na stolarce, murarstwie, kowalstwie, elektrotechnice, lastrykarstwie oraz — oczywiście — na kładzeniu mozaiki. Pod jednym tylko względem był bezradny: nie miał pieca ceramicznego. Dlatego wypalanie zlecił Luc-janowi Wengorkowi. W ten sposób zawarłem zna-jomość z nie istniejącą już dzisiaj siedzibą pary lubelskich plastyków, Barbary i Lucjana Wengor-ków, przy ulicy Drobnej.

Mniej więcej w tym miejscu, gdzie obecnie wpada do ronda przy Alei Tysiąclecia przebita przez wzgórza Cze-chowa asfaltowa wstęga Alei Kompozytorów Polskich, stał wówczas na stromej, glinastej skarpie długi, pię-trowy budynek zwany „szkołą milicyjną”. Mieściła się w nim, jakoby, po wywołaniu jakaś szkoła podoficerska MO. Ale w latach pięćdziesiątych mieszkali tam rodziny milicyjne. Na lewo, między „szkołą milicyjną” a kościo-łem Mariawitów, pięła się od ul. Północnej ostrymi za-kosami pod górę, wybrukowana „kocimi łbami” ulica Drobna. Na tyłach milicyjnej siedziby stały przy Drobnej dwa niewielkie parterowe domki połączone drewnianym, przeszklonym pasażem: „hacienda” Wengorków. Mini-po-siadłość, ukryta w ciszy czechowskich wstępow, wśród kołczastych krzaków berberysu i dzikich kep wybujałych ostów, tak strasznie odległa... a przecież tak bliska cen-trum miasta. Bo wystarczyło zejść w dolinę Czechowów i już było gwarne latem miejskie kapieliśko przy ulicy Lubomelskiej, potem — Wieniawska i zaraz — Krakow-skie Przedmieście...

W głębi zarosłego trawą podwórza stał stary, drewnia-ny, poniemiecki barak. To była pracownia Wengorków: obszerne, cieniste pomieszczenie z wielkim szamotowym piecem ceramicznym — „ropniakiem”. I z drugim, mniej-szym, ogrzewanym elektrycznie.

Połowę upalnego lata 1959 r. przepracowałem na „Wzgórzu Wengorków” oddelegowany przez „Sze-fa” do pomocy przy wypalaniu mozaiki. Było mi tam dobrze. Tym bardziej, że Lucjan lubił pra-cować niekonwencjonalnie: to znaczy — albo zwlekał się z łóżka około dziesiątej, snując się na-stępnie sennie do południa po podwórzu i wśród swoich pieców, albo... oświadczał, że nie ma nat-chnienia. Ta druga ewentualność zapowiadała doskonałą zabawę. Bo zaraz potem następowało stwierdzenie, że należałoby trochę poekspery-mentować... Eksperymentował Wengorek naj-chętniej na ceramicznych broszkach: formował z glinki kaolinowej efektowną broszkę, barwił bia-łą masę specjalnymi farbami, po czym wkładał swoje dzieło w czełusć pieca i włączał prąd. Piec nagrzewał się do temperatury 1300 stopni Cel-sjusza przez około półtorej godziny. Licznik wa-lił kilowaty, aż się ściana trzęsła; specjalnie zbu-dowana za barakiem elektryczna podstacja do-stawiała zadyszki. Potem godzinę trwało wypala-nie i godzinę stygł piec. W końcu — następował ostatni akt działalności twórczej: Wengorek wy-ciągał „tace”, przyglądał się uważnie leżącej na niej broszce... Broszka była pęknięta na dwie części. Lucjan znówu patrzył długo, drapał się w głowę i mówił: „CHOOOLERNE ZALEŻNOŚCI !!!” Zaraz potem robiła się pora obiadowa i mogłem już iść do domu.

Czegoś się jednak widocznie przy tej mozaice, najpierw wypalanej, a następnie „kładzonej” w sklepie przy Alejach Racławickich, nauczyłem, bo w listopadzie Wengorkowie zaproponowali mi pra-cę, jako „fachowcowi”, przy układaniu mozaiki na frontonie kina „Cisy” w Nałęczowie. Dawali dniówkę — 100 złotych, plus całodzienne utrzymanie i nocleg. Na owe czasy były to warunki bar-dzo dobre. Tak więc ułożyłem sobie zajęcia na uc-zelną, żeby „wykręcić” dziesięć dni wolnych i po-jechałem do Nałęczowa.

Tutaj nie było już żadnego „eksperymentowa-nia” ani „braku natchnienia”, bo Lucjana pilno-wała Wengorkowa. Staliśmy od rana do wieczora w cztery osoby „na ścianie” — Barbara, Lucjan, jego brat Jureczek, zwany „księciem Czechowów”, i ja.

Efekty naszej pracy można oglądać do dzisiaj; mozaika trzyma się całkiem dobrze, tyle że przy-słoniły ją już dość dokładnie wyrosłe w ciągu ćwierćwiecza bujne modrzewie.

Tamten nałęczowski listopad był mglisty i mroźny. Rano, gdy szliśmy na śniadanie do nie istniejącego już dzisiaj „Baru Nad Łączką”, skrzypiał pod stopami gruby szron, wieczorem wilgoć kapła wielkimi kroplami z drzew. Jedyną oazą ciepła i światła była stara, drewniana restauracja „Zdrojowa”, u wejścia do czełusć czarnego, mokrego parku. Jedliśmy spóźniony obiad, jakieś nie-zmienne kotlety mielone z buraczkami lub marchewką, piiliśmy dużo herbaty na rozgrzewkę. W końcu Wengorek się łamał i zamawiał pierwszą ćwiartkę. Potem zamawiał następną... Robiło się przytulnie, snul się nad stołem dym papierosowy, przyjemnie szumiał w uszach sześć talerzy w bufele i pilkackie rozmowy przy sąsiednich stołkach. Nie zważaliśmy na Barbare, która piorunowała wzrokiem męża, wskazując wymownym gestem na portfel. Potem — do domu. Do prywatnego hoteliku ze śmiesznie kolum-nami — tam, gdzie działał fest zakład fryzjerski przy ul. 1 Maja. I sen pod pierzynami, we wspólnym, lodowato zimnym pokoju (bo bez paleniska była niska taryfa, a Wen-gorek postanowił, że będzie oszczędny). Lucjan z Bar-bara w jednym łóżku (znówu — taniej) my z „księciem Czechowów” — na osobnych.

Owe dziesięć dni w Nałęczowie: jeden z przyjemniej-szych okresów w moim życiu, czas — kiedy czułem się ARTYSTĄ...

Wróćmy jednak do Lublina i do „Struktur”. Ośmy numer „Struktur” — ten ze stycznia 1960 r., z paryską korespondencją Tytusa Dzieduszyckiego — był, niestety, ostatnim przed długą, dotąd dla mnie do końca niezrozumiałą, prawie jedenasto-miesięczną przerwą. Dopiero w bożonarodzeniowej

„Kamieny” z 1960 r. ukazał się numer 2(9). W miesiąc później — numer 1 (10), z datą 31 stycz-nia 1961 r. W numerze grudniowym debiutowałem i ja w „Strukturach” reportażem o równie dłu-gim co wymownym tytule: „Pan na pewno nie wie, że właśnie Lublin jest stolicą sztuki pla-tycznej”. Prowadziłam wtedy wspólnie z Lud-wińskim w LDK młodzieżowy Klub „Zamek” — kontynuujący, w pewnym sensie, tradycję nie ist-niejącego już Klubu Młodej Inteligencji — a ja od pewnego czasu pisywałam dla „Kamieny” re-portaże „plastyczne”, m.in. o Teofilu Ociece i o Nikiforze...

Te dwa numery „Struktur” z przełomu 1960 i 1961 r. to nie było już „dawne”, dynamiczne, pełne treści, awangar-dowe pismo plastyczne. „Struktury” straciły poprzedni rozmach; w czasie wielomiesięcznej przerwy wielu auto-rów skierowało się ku innym redakcjom. Sza też w roz-sypkę, naturalna kolejka rzeczy. Grupa „Zamek” — jej członkowie układali sobie życie na różny sposób, wyjeź-dzali z Lublina lub z kraju. W Lublinie pozostali: Borow-ski, Ziemiński, Durakiewicz i Zwoliński; ten ostatni odsu-nął się zresztą od Grupy, zrażony wewnętrznymi roz-grzykami. (Notabene szereg lat później wyemigrował do Warszawy również Włodzio Borowski).

Upadek „Struktur” nastąpił ostatecznie w koń-cu 1961 r. W listopadzie ukazał się 11 numer, ale był to już tylko smutny refleks, usiłujący na-wiazać do czasów dawnej świetności. Ogłoszona w tym numerze — zaledwie dwustronicowym — ankietą na temat: „Co sądzi Pan(i) o wyglądzie miasta Lublina kształtowanym przez architekturę i plastykę? [...] Czy wpływ plastyki na kształto-wanie jest dostateczny i jakie czynniki go hamu-ją?” — nigdy nie doczekała się odpowiedzi.

„Struktury” skończyły się nie tylko z uwagi na odpływ z Lublina wielu ciekawych ludzi. Winę ponoszą za to i niektóre osoby z ówczesnej redakcji „Kamieny”, coraz mniej chętnym okiem patrzące na fakt, że — jak twier-dził złośliwi — dwutygodnik staje się lubelskim „do-datkem” do ogólnopolskich „Struktur”. A także — miejscowe władze kulturalne, gdy zabrakło Jadwigi Gros-sman na stanowisku kierownika wojewódzkiego Wydziału Kultury. Niemala też chyba wina samego Jerzego Ludwiń-skiego — osobowości niecodziennej, ale chimerycznej, nie-równej, człowieka nie znającego — zresztą, skądinąd, cał-kiem słusznie — włączania jego działalności w malarz, na sposób prowincjonalny rozumiane, normy.

Wkrótce po upadku „Struktur” Ludwiński wy-jechał do Wrocławia. Prowadził tam przez szereg lat znaną galerię sztuki nowoczesnej „Pod Moną Lisą” oraz redagował dział plastyczny miesięczni-ka „Odra”.

Tytus Dzieduszycki osiedlił się na stałe w Pa-ryżu. Przez długi czas utrzymywał kontakt z Gru-pą „Zamek” i doprowadził do zorganizowania wy-stawy „Zamku” w jednej z paryskich galerii. Mie-szkał w skromnym lokalu przy rue Grenelle. Wio-dło się Tytusowi marnie, w pierwszym okresie za-rabiał na życie wyrabianiem — plastycznych bre-loczków, w których zatapiał owady złowione pod-czas letnich eskapad nad brzegami Oceanu Atlan-tyckiego.

Po kilku latach stanął na nogi: zaczął projek-tować wnętrza, umieszczał w nich swoje dziwne, pulsujące, kolorowe kompozycje z plastyku. To miało popyt — szczególnie w przypadku wielkich lokali rozrywkowych. Ożenił się ze swoją sym-patią z Warszawy, absolwentką architektury wnętrz, zdobył mieszkanie w „porządnej” dzielnicy. Uro-dziło się dziecko, spodziewali się następnego...

W 1973 r., gdy wraz z całą rodziną wracał z wakacji, w jego decesie, kiedy już parkował przed domem, uderzyła wielka ciężarówka TIR. Nikomu nie się nie stało, tylko Tytus doznał lekkich obrażeń głowy, więc zabrano go — na wszelki wypadek — do szpitala na obserwację. A następnego dnia Tytus — wysportowany, silny, pełen życia Tytus — już nie był. Jakis wewnętrzny wylew czy coś w tym rodzaju... Zawsze powtarzał, jeszcze za lubel-skich czasów, że nie dożyje czterdziestki, a zginie śmier-cią gwałtowną. Śmieliśmy się z tego, i on sam się śmiał. Ale nie dożył tych czterdziestu lat. Miał jakieś przecu-cia, czy był to tylko zwykły zbieg okoliczności?

Czteroletni okres istnienia — najpierw Koła Młodych Plastyków, a następnie — Grupy „Za-mek” oraz „Struktur”, owe pełne wydarzeń lata 1956—1959, to czas, w którym jak nigdy przed-tem ani potem działalność grupy młodych odcisnę-ła się tak silnie na życiu kulturalnym Lublina. A dokonania artystyczne Borowskiego, Ziemińskiego oraz „Struktur” Ludwińskiego — weszły na trwałe do historii sztuki polskiej.

A co z karnawałowym — wspomnianym w po-przednim odcinku „Środowiska lubelskiego” — Balem Młodej Inteligencji z 1957 r.? Oczywiście — odbył się. Ale nie pozostały mi po nim jakieś bardziej wyraźne wspomnienia. Może z wyjątkiem jednego: kiedy bladym, zimowym świtem zamyka-limy opustoszały po zabawie klub „Nora”, oka-zało się, że w szatni pozostało jeszcze jedno pal-to. Wtedy ktoś sobie przypomniał, że w połowie nocy, gdy zabrakło zakasek, jeden z najsympatycz-niejszych plastyków, jakich znałem, Lucjan Kieres, oświadczył, że wobec tego on „wyskoczy” do czyn-nej jeszcze restauracji na dworcu PKP, po „coś ostrego”. I wyskoczył, bez palta, przy dziesięć-ciestopniowym mrozie, a potem o nim wszyscy zapomnieliśmy.

I oto, kiedy teraz wyszliśmy cała gromada na uśpione, puste, otulone świeżo spadłym śniegiem Krakowskie Przedmieście, ujrzelśmy samotną, dro-bną postać w ciemnym garniturze, podążającą ku nam zygawką od strony Bramy Krakowskiej. To był Lucio Kieres — z ogromnym, fajansowym pół-miskiem, wypełnionym po brzegi porcjami śledzia w śmietanie...

Taki był finał Bału Młodej Inteligencji w Lubli-nie.

Koncert wzruszeń

ZDAWAC by się mogło, że muzyka zwana umownie rockową nie może zaskoczyć wytrawnego słuchacza niczym szczególnym, poruszającym wyobraźnię, odwołującym się do głębszych doznań estetycznych. A jednak! Podczas tegorocznych „Prezentacji” pokazano program, który przejdzie zapewne do historii tej imprezy. Był bowiem jej najjaśniejszym punktem. Myślę o recitalu Krystyny Prońko w sali Filharmonii.

Prońko od dawna cieszyła się dobrą marką wśród zwolenników ciekawej muzyki. Do miana gwiazdy predestynował ją silny, opanowany do perfekcji głos, bogaty repertuar i niebagatelne doświadczenie, uzyskane latami pracy na scenie. Wokalistka śpiewała już z różnymi zespołami i orkiestrami. Miała okazję słuchać jej w małych klubach studenckich i na dużych scenach festiwalowych, podczas recitali w halach sportowych i w ekskluzywnej Sali Kongresowej. W towarzystwie Koman Bandu, big bandu szkolnego katowickiej Akademii Muzycznej kierowanego przez Zbigniewa Kalembe, orkiestry S-1 pod batutą Andrzeja Trzaskowskiego i rodzinnej formacji Prońko Band — występowała melodyjny pop i rock, standardy jazzowe, pieśni gospel, funky i drapieżny soul. W każdym z muzycznych wcieleni była doskonała, a miano to żaden z jej dotychczasowych koncertów nie wywarł na mnie tak silnego wrażenia, jak ten

ostatni — kameralny, pozornie ściszony, ale znakomity w każdej nucie i frazie.

Prońko zdecydowała się na coś, czego przypuszczam nie zaryzykowałaby żadna z rockowych piosenekarek. Wykonała znane z płyt i programów radiowych szlagiery jedynie w towarzystwie pianisty Marka Stefankiewicza. Skromny brzmieniowo akompaniament nie przeszkodził jej, bynajmniej ujawnić pełni talentu interpretacyjnego. Ba, wydaje mi się, że dopiero w ascetycznych warunkach instrumentalnego podkładu głos artystki zabrzmiał pełniej, szlachetniej. Prońko wybrała do programu piosenki z różnych lat, z różnym tempem i klimatem. Były więc delikatne liryki („Niech moje serce kołysze cię do snu”, „Kołysanka”, „Male tęsknoty” i „Może pisać to palcem na wodzie”), soulowe frazy, jazzowe standardy i porywające dynamiką songi („Biedna”, „Psalm stojących w kolejce”, „Jesteś lekiem na całe zło”). Doniośle tutaj można było zrozumieć, jak bardzo wykonawczyni angażuje się w tekst piosenki, jak wspaniale cieniuje nastroje, jak gra całą sobą. Bo sztuka Krystyny Prońko nie ogranicza się tylko do zniewalającej słuchacza wokalistyki. To również wysokiej klasy aktorstwo, objawiane gestem, wyrazem twarzy, przymknięciem oczu. Nie wszystko oczywiście da się do końca zdefiniować, wymierzyć, określić. Faktem jest, że prezentuje ona poziom, jaki rzadko ogląda się na naszych estra-

dach. Potrafi w sobie tylko wiadomy sposób wytworzyć nastrój intymnego wyznania, wywołującego poruszenie wyczuwalne na piękno publiczności.

Artystka nie próbowała kokietować słuchaczy, okazywać zadowolenia, czy wdzięczność się po gorących owacjach sali. Niewzruszona do końca, perfekcyjnie grała narzuconą sobie rolę, a emanowały z niej szczerość i głębokość przeżywanych doznań. Gdyby ktoś pokusił się o rejestrację tego recitalu na płytę bądź też kasety video, byłoby to jedno z najwspanialszych wydawnictw w polskiej fonografii. Niestety, chęć doświadczenia naszego przemysłu muzycznego sprawia, że do dziś nie może się ukazać kolejny album Krystyny Prońko zarejestrowany przed dwoma laty z orkiestrą Marka Stefankiewicza, choć przecież nie brakuje płyt rockowych gwiazdek jednego sezonu. Tyle, że one szybko zgasną, a słowa Prońko nie przemienia. Zresztą i tak wokalistka zdołała przetrwać różne mody. Zaczynała śpiewać przed 15 laty, by mozolnie osiągać coraz wyższe stopnie muzycznego wtajemniczenia. Po doświadczeniach scenicznych z kilkoma formacjami i obronie pracy dyplomowej w katowickiej Akademii Muzycznej podjęła się pracy pedagogicznej. Wybrała też drogę estradowej przygody, niezmiennie rzadko uczęszczaną przez nasze wokalistki. Nie milknące brawa po każdym koncercie i wzruszenie publiczności świadczą, że wybór jej był w pełni trafiony i dojrzały.

O sztuce Krystyny Prońko można by pisać wiele. Duża klasa interpretacji, wspaniały timbre głosu i kultura muzyczna to jej cechy prymarne, sprawdzające się w każdej sali i przed każdą publicznością. W Lubelskiej Filharmonii czarującej głosem wokalistkę towarzyszył Bogusław Sobczak recytujący z pasją wiersze Bułata Okudźawy, Czesława Miłosza, Władysława Szymborskiej, Zbigniewa Herberta i Beaty Szymańskiej. Poetyckie strofy idealnie wpisywały się w klimat koncertu, były jakby jego słownym dopowiedzeniem. Myślę, że na podobne wydarzenia artystyczne przyjdzie nam czekać długo.

Istvan Grabowski

Okolice sztuki

Szanujmy krawaty

JAN Karmański wywodził się ze szlacheckiej rodziny herbu „Wczele”, taki też znak widnieje na jego nagrobku w Kazimierzu Dolnym, ale na zachowanych fotografiach malarz przypomina małomiasteczkowego rzemieślnika, który tylko na chwilę opuścił interes, by wdać się np. w towarzyską pogawiedź z Edwardem Nadulskim i Zenonem Kononowiczem. O dziwnie na nim skromne i sfatygowane: sweter jak misurka z wielkiego rycerza, czapka jak wysłużona oprychówka. Owszem, w istocie swojej także spostrzeżenie jest chybione, niejedną bowiem szewc, stolarz czy nawet chłop (choćby z Podlasia) pochodzi ze szlachty, ale wspomniane porównanie coś tam przecież mówi o człowieku.

Co innego widzimy w autoportretach, które chętnie malował Karmański, na ogół respektując reguły rzetelnej, realistycznej roboty, wcale jednak nie akademickiej. Te z lat trzydziestych, może najlepsze w dorobku artysty, niemal żłobione pędzlem i szpachlą w grubych warstwach czerwonych brązów, rozjaśnianych żółtymi i białymi szarym błękitem i smugami zieleni, otóż te niewielkie obrazy ze zbiorów Muzeum Kazimierza Dolnego (dwa) i okręgowego w Lublinie (jeden z 1933 r.) przedstawiają męża z pewnością swych racji, godnego, wyjątkowo nawet, nie! ozdobionego krawatem. W późniejszych autoportretach twarz Karmańskiego nabiera twardszego

wyrazu, jakiejś determinacji, by w ostatnim, z 1937 roku, akcentowanym czerwonymi obwódkami wokół wyblakłych oczu, o-znajmniać spotkanie ze śmiercią — która zapbrała artystę niedługo potem, 23 listopada 1938 roku. Na tym płótnie malarz także wystąpił w krawacie, rzecz można — odświętnie, albowiem na co dzień unikał takich dekoracji.

Krawat w twórczości Jana Wacława Karmańskiego czyli słów a sprawa polska? W pewnym stopniu, ale niezupełnie, bo ten kawałek szmatki w zestawieniu z biografią malarza i wspomnianymi fotografiami z lat pięćdziesiątych staje się plastycznym kluczem do wewnętrznego i społecznego świata artysty kształtowanego w pięknej dla historyków sztuki i turystów scenie miasteczka nad Wisłą, opiewanego także przez poetów (starszej generacji).

Urodzony 21 grudnia 1887 roku w Warszawie, „z woli ojca” ochrzczony jedenaście lat później a z woli własnej ożeniony z Celiną „z Czerwinski” pochodzenia żydowskiego, osiedlił się Karmański w Kazimierzu bodaj w 1924 roku, by zamieszkać w pokójku wynajętym u aptekarza Lichtholza, który był pono bliskim krewnym żony absolwenta Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Poza studiami w tej solidnej zawodowo zorientowanej instytucji, w której uczył się m.in. pod kierunkiem Konrada Krzaczunowskiego i Ferdynanda Ruszczyca, miał

już Karmański za sobą pobyt w Paryżu w latach 1913–1914, gdzie udało mu się nieźle poznać twórczość Cezanne’a, często później przywoływaną przy omawianiu malarstwa karmańskiego. Twierdzi się nawet, że do roku 1938, kiedy to powstał pejzaz znajdujący się dziś w posiadaniu KUL, obrazy Karmańskiego ujawniały „proweniencję postkubistyczną”, co jest, delikatnie mówiąc, pewnym uproszczeniem skomplikowanej sprawy, której profil wyznaczają płótna wielce różnorodne, m.in. ekspresyjna „Ul. Senatorska” (1931) czy wysmakowany kolorystycznie i zupełnie odosobniony w zachowanym dorobku artysty „Klasztor w Kazimierzu” (1932) z wilią „Wanda” burmistrza Ulanowskiego i nie istniejącą już chałupką na pierwszym planie. W duchu Cezanne’a utrzymana jest natomiast praca znacznie późniejsza: „Marta natura” z 1934 roku, kiedy to Karmański miał już ponad malować wyłącznie na sposób postimpresjonistyczny: szeroka, żywa plama i krótkimi smużkami pędzla, zacierałymi konstrukcją obrazów. Dajmy jednak pokój tym scholastycznym gawędom i zwróćmy uwagę, że w okresie międzywojennym w Kazimierzu Karmański malował wiele, zazwyczaj dobrze i eżul się chyba nieźle w polsko-żydowskim środowisku miasteczka. Wystawiał wtedy w salach Warszawy („Zachęta”, Instytut Propagandy Sztuki), uczestniczył w lubelskich i lokalnych pokazach malarstwa oraz — jak sam twierdził — brał udział w ekspozycjach naszej plastyki za granicą. Nie zaliczono go co prawda do wybitniejszych artystów owego czasu, kulturowo ewentualnie wspomnianymi prawnymi twórczości karmańskiego z wyboru, ale też poziom obrazów Karmańskiego już wtedy był nierówny.

Podczas okupacji biedował, stracił żonę, zapadł na zdrowie. Później także żył w kiepskich warunkach. W 1947 roku „Standard Ludu” podawał, że „chudy i wynędzniały” malarz „przymiera głodem”, ale ciągle przecież wyprawiał się w plenery, przypomnijmy — nawet o godz. 1 lub 4 nad ranem. W latach pięćdziesiątych Karmański wiązał jakoś koniec z końcem, m.in. dzięki stypendiom i zasiłkom resortu kultury oraz ZPAP. Namalował wtedy dużo obrazów, ale ekspozycje je już tylko na okolicznościowych wystawach lubelskich i dwukrotnie w Warszawie: na I i IV prezentacji sztuki socrealistycznej (OWP), której kanony były mu obce, podobnie zresztą, jak idea plastyki „nowocześniejszej”, dominujące w kraju po roku 1953. Obok płócien świeżych, wabiących

intrygą malarzską i porównywalnych z dziełami znanych polskich kolorystów („Pejzaz z Kazimierza I” z 1937 r.), wykonał wówczas wiele obrazów przedziwnych, na sprzedaż, zachęcani usilnie do tego, procederu przez drugą żonę, która na dodatek poczuła w sobie artystyczną wolę bożą i chwyciła za pędzel. Pokazywała mi zresztą kiedyś te „kwiatki”, czy ja wiem — chyba z dumą!!

Pogarszające się zdrowie, kiepska sytuacja materialna artysty i wewnętrzne przeobrażenia sztuki — oto, zdaje się, główne powody bardzo nierównego poziomu twórczości Jana Karmańskiego, spychanej przez czas w zapomnienie. Dobrze się więc stało, że z okazji 25-lecia śmierci artysty muzeum kazimierskie urządziło w swojej Galerii Letniej dużą wystawę prac autora „Widok miasteczka”, zaopatrzoną w dokumentalne fotografie (w większości Wilkora Ziolkowskiego), kopie stosownych archiwaliów, wydruki prasowe oraz katalog ze wstępem, rejestracją prac, kroniką i bibliografią, który opracował Franciszek Jan Postół — nieślychante załazy tropiciel wszelkich śladów malarza.

Czynna od września do początków listopada, wystawa dowiodła, że Karmańskiemu należy się nasza pamięć, i potwierdziła, choć może nie milejło się to w intencjach organizatorów, jakim niesześciem dla artysty okazało się związanie z miastem takim, jak Kazimierz: żyjącym z letników, zagrzebanym w ciutactwo, poruszającym się żwawie tylko „w sezonie”. Ten skromny i młeki człowiek został po prostu wessany w kazimierski mikroklimat społeczny. Stał się swojakdem — po 33 latach stałego pobytu nad Wisłą otrzymując „w ziemian” dwupokojowe mieszkanie; do tego momentu ułat się po sublotariach.

Malował tak i śląk, ale do końca wierzył chyba, że sztuka to wielka sprawa i szansa na zachowanie pewnej suwerenności ducha. Dowodzi tego m.in. ostatni autoportret, do którego przystąpił pod krawatem, choć zwykle chadzał w wysmalcowanych marynarkach i swetrach.

Autoportretów nie maluje się na handel. W takich wizerunkach przegląda się wewnętrzna prawda człowieka lub znana jego najpłkniejsze złudzenia, co na jedno wychodzi.

IJK

Kajet literacki

Silva rerum

Szymona Kobylńskiego

ZDECYDOWANA większość tak zwanej literatury faktu to literatura trzeciorzędna, pisana niezręcznie, drewnianym językiem wcale nawet nie gawędziarskim, bo przecież w gazetach też tra-

fiągą się teksty dobre i złe. Pamiętnikarze są na ogół nudziarzami, reportażyści schematystami. Są jednak zaskakujące wyjątki, które dowodzą, że dobra literatura jest tylko jedna, bez względu na to, czy odnosi się do faktu, czy do fikcji.

Podobnie jest ze słowem mówionym. Spotykamy wielu gadatliwych gorliwców, ale nigdy nie słuchamy ich uważnie, właściwie

tylko spoglądamy na nich grzecznie i wprawiamy się w stan czujnej drzemki. Budzimy się natomiast natychmiast, gdy trafimy na prawdziwego, utalentowanego gawędziarza, który właściwie nie gawędzi, tylko improwizuje w jakimś transie i porywa nas za sobą. Słowa wtedy zaczynają żyć, stają się wyraziste, wręcz namacalne.

Takim właśnie cudownym gawędziarzem jest znany rysownik Szymon Kobylński. Czytając jego książki, zrozumiemy, na czym polega sztuka narracji. Słowo u niego po prostu przyrzuca się do rzeczywistości, wręcz stwarza tę rzeczywistość. To jest kreacja najprawdziwsza, nie żadne tam wy-magieranie się, na silę za uszy ciągnięcie awangardy. Zdania Kobylńskiego są pięknie rozbudowane — chciałoby się rzec — pełne zakrętasów, jak na starym manskrypcie. Podobnie jest z treścią, wciąż wzbojęcana przez nowe przykłady, aluzje, odwołania i komentarze.

O czym jest ta książka? O wszystkim. I dlatego warto ją przeczytać. Można też ją czytać na głos, co w przypadku współczesnej prozy jest wręcz wdzarzeniem.

Autor opisuje uroczę drobiazgi, a także wielkie narodowe mity i fascynacje. Oto ostatnie żydowskie miasteczko i ostatnie ziemlańskie dworki, artyści i legioniści, wiele statuet i zwycięzcy statuet filmowej — słowem dawna i nowa Polska, a także

uroczę często czy egzotyczne pogranicze starego i nowego. Poza tym Kobylński pisze jeszcze o sobie, o Tuwimie, Mickiewiczu, Zarubie, o książkach i bibliotekach, o wielu ludziach znanych i nieznanach. Przerwijmy w końcu te wyliczanki, bo przecież nie o katalog chodzi.

Ta książka, wyrastająca z tradycji, jest zaprzeczeniem awangardowych sztuczek. Za Singerem możemy powtórzyć, że literatura jest rozrywką, a pisarz jest tym, który opowiada anegdoty, plotki, wymyśla fabuły. Singer twierdzi, że literatura nie powinna — jak u Sartre’a — zastępować religii. Dziesięciu Przykazań. Literatura nie musi uczyć czytelnika, bo czytelnik najczęściej wie więcej od pisarza.

Rodowód prozy Kobylńskiego jest oczywisty — to staropolszczyzna przekazana nam nie tylko przez klasyków, ale także przez różne pozornie zramolowane ciotki i zdiwaczące babcie opowiadające o sobie i nie tylko o sobie.

Jaki jeszcze wyprawa wniosek z tej lektury? Otóż z takim właśnie gawędziarskim polem, z takim zaufaniem do słowa, i z takim talentem przede wszystkim należy znowu zacząć pisać powieści.

Janusz Olezak

Szymon Kobylński: Zbrojny oles czyli zestaw plotek. Kraków 1982, str. 121.

U sąsiadów

TEGOROCZNE Dni Filmu Radzieckiego, odbywające się, jak zwykle, w listopadzie, przyniosły osiem nowych filmów, w tym aż cztery komedie; spośród zaprezentowanych dramatów — największą nosność artystyczną posiada bez wątpienia „Głos” w reżyserii jednego z najmłodszych współczesnych radzieckich reżyserów średniego pokolenia — Ilii Awerbacha. Ten lekarz z wykształcenia a następnie absolwent kursów scenarjopisarskich i reżyserkich, wychowanek Grigorija Kozincewa, artysta dobiegający właśnie pięćdziesiątki, dał się poznać jako wnikliwy obserwator ludzkiej psychiki. W krąg tematyki psychologiczno-obyczajowej wkroczył — i to od razu z dużym powodzeniem — nakręconym w 1968 r. filmem „Stopień ryzyka”. W 1973 r. Awerbach zdobył międzynarodowy sukces filmem „Monolog”, w 1976 r. utwierdził swą pozycję refleksyjnymi, zrealizowanymi z wielką subtelnością „Cudzymi listami”. Tym razem Ilija Awerbach opowiada historię aktorki, której poważna choroba wprowadza zamęt w realizacji filmu.

Równoległe z Dniami Filmu Radzieckiego odbywały się „Konfrontacje”, a międzynarodowy zestaw trzynastu filmów otwierał obraz niosący kina radzieckiego, Julija Rajzmana — „Życie osobiste”. Współczesny dramat — ukazujący historię człowieka, który osiągnąwszy wiek emerytalny, zostaje — dzięki biegowi rozgrywających się wokół niego wypadków — zmuszony do spojrzenia wstecz, i odpowiedzi na pytanie: czy dobrze i w sposób właściwy spędził życie?

I pięćdziesięcioletni Awerbach, i dobiegający dzisiaj osiemdziesiątki twórca „Ziemia pragnie”, „Ostatniej nocy”, „Maszeńki”, dokumentalnego „Berlina”, „Kawaleria Złotej Gwiazdy” oraz „Twojego współczesnego” — Julij Rajzman, skupiający się nad obserwacją współczesnego życia swojego kraju, przemian zachodzących w psychice, mentalności, obyczajowości wielkomiejskiego społeczeństwa. Chociaż każdy z nich czyni to z różnego dystansu wiekowego i z perspektywy bardzo odmiennej drogi życiowej.

Urodzony w 1934 r. Awerbach jest typowym przedstawicielem pokolenia, którego młodość i dorosłe lata wiązały się z wielkimi przemianami zachodzącymi, po śmierci Stalina, w Związku Radzieckim. Julij Rajzman — oczyma czternastoletniego chłopca oglądał Rewolucję Październikową, brał udział w wielkich przedsięwzięciach przemysłowych lat trzydziestych, a jako mężczyzna w pełni dojrzały — uczestniczył w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, dochodząc z kamerą aż do Berlina.

Rajzman to właściwie historia kina radzieckiego (debiutował w 1927 r., w dwa lata po „Pancerniku Potiomkinie” Eisensteina), historia tego kina, wraz z jego wszystkimi wzniołymi, sukcesami i niepowodzeniami. Po latach międzynarodowych sukcesów, ale także po długim okresie artystycznych niepowodzeń, uznany za „klasyka”, zaskoczył nagłe — będąc już w wieku emerytalnym — nakręconym w 1963 r. „Twoim współczesnym”; dramatem z gatunku „publicystycznych”, odważnie i z ogromną pasją stawiającym problem moralny dotyczący się „wielkich menadżerów” przemysłowych.

Co jest bardziej właściwe: kontynuować budowę ogromnego kombinatu wedle projektu znanego i cenionego bohatera filmu, czy też — ryzykując stanowiskiem — rozpocząć wszystko od nowa, opierając się na dużo lepszym i ekonomicznym projekcie skromnego podwładnego?

Tworząc swego rodzaju publicystykę na ekranie, Rajzman potrafił jednocześnie nasycić film głęboką znajomością psychiki ludzkiej, ustrzegł się łatwizny i lopotologii. „Twój współczesny” otwierał cały nowy rozdział w historii radzieckiego kina, kina próbującego mówić o dzisiejszym dniu Związku Radzieckiego, bez opierania się o przebrzmiałe i częstokroć skompromitowane wzorce artystyczne.

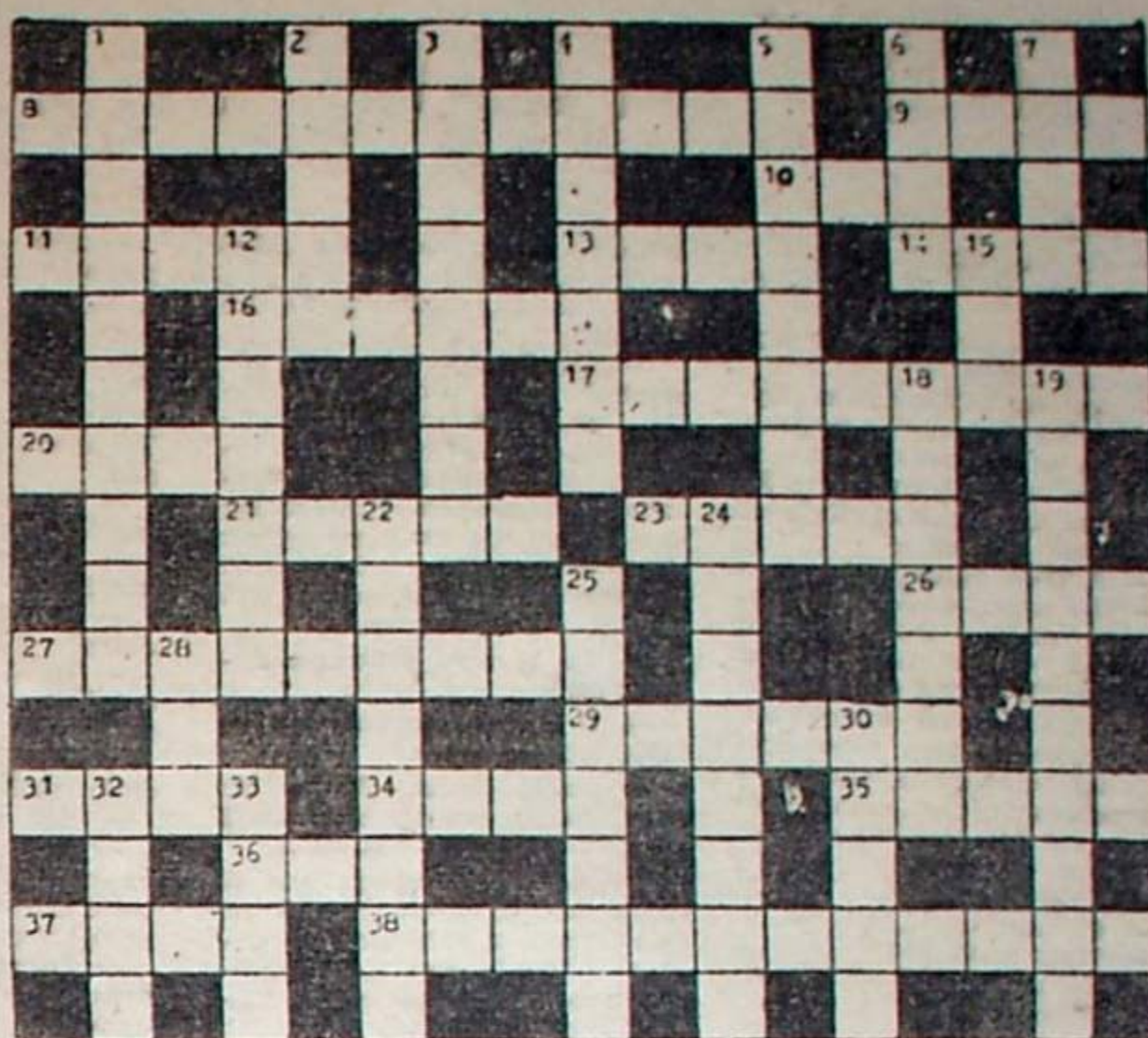
Wydawało się, że „Twój współczesny” będzie ostatnim silnym i dźwięcznym akordem, podsumowującym dorobek twórcy starego reżysera. Tymczasem — nie wspominając o innych jeszcze realizacjach — w 1982 r. Julij Rajzman stworzył „Życie osobiste”. I chyba ten właśnie film, pełen młodzieńczej pasji, ale też i refleksyjnej zadumy człowieka zbliżającego się do schyłku życia, film mądry, pokazujący, że stary „klasyk” nie stracił kontaktu z otaczającą go współczesnością, będzie najpełniejszym testamentem Rajzmana. Chyba... chyba, że za parę lat zaskoczy nas znowu czymś zupełnie nieoczekiwanym.

Rajzman pokazuje portret dzisiejszej moskiewskiej rodziny inteligentkiej, zdominowanej przez ojca, męża i dziadka — dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa, człowieka rzutkiego i władczego, doskonałego fachowca, który nagle staje wobec pustki, jaka rozwiera się przed nim po przejściu na emeryturę. W rodzinie czuje się niepotrzebny i obcy, obce jest dla niego miasto, które od dziesiętków lat oglądał tylko z okien służbowej wolgi, w przejeździe między jedną a drugą konferencją, między własnym gabinetem a gabinetem ministra. Obca wydaje się żona, którą kiedyś kochał, obce — dzieci, o które nie miał czasu dbać, obce — dawni podwładni, których prawie nie dostrzegał. Obca jest mu dzisiejsza młodzież, jej mentalność i jej sposób patrzenia na świat. I nawet serdecznego przyjaciela z czasów wojny już nie ma; zmarł kilka lat temu, a bohater filmu — zajęty tworzeniem rzeczy ważnych wielkich — nie zdążył tego faktu zauważyć...

Puste, samotne dni w domowym gabinecie. Refleksja, z którą trzeba się uporać, odpowiedzieć sobie na pytanie: co jest sensem życia — czy tylko praca, czy tylko obowiązki, czy tylko dążenie do celów najważniejszych, czy tylko wieczne powieć sprawom nadludzkim, bez zauważania ludzi żyjących wokół? Oto pytania, które stara się stawiać Rajzman „swoim współczesnym”, a może — pod koniec długiego życia — przede wszystkim sobie samemu?

M.D.

Krzyżówka nr 27



Poziomo: 8. współczesny poeta polski, twórca m.in. „Pastorałek polskich”, 9. przepływa przez Cieszyn, 10. Niedźwiedzia, 11. zginął pod Kościem, 12. uroczysty strój profesorski, 14. pogoda, 16. ma dwie strony, 17. pan Zygmunt psa Pankracego, 20. brzask, 21. kinowa scena, 23. z niej płomień, 28. karmienie zwierząt na ubój, 27. szkoła średnia w Polsce międzywojennej, 29. zgięty diabeł, 31. pora roku, 34. wulkan na Sycylii, 35. pęta, kajdany, 36. coś z nabiātu, 37. występ dachu, 38. znany polski reżyser filmowy.

Pionowo: 1. pianista i premier, 2. gatunek pszenicy, 3. surowiec na masło, 4. syrena lub trabant, 5. bardzo stara dzielnica Lublina, 6. zwierzę hodowlane, 7. piękno, urok, 12. zdaje egzamin po samodzielnym nauce, 13. kanton w środku Szwajcarii, 15. ze śmigłami mleie zboże, 19. poeta, który zginął w czasie bombardowania Lublina, 22.

gdy osłólkowi w żłoby dano... 24. miesiąc, 25. kłopot, 26. przegrales w szachy, 28. lewy dopływ Irtyżu, 32. Iódi Noego, 33. grubo mielone ziarno na paszę.
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 20 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-250 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 300 zł.

Rozwiązanie krzyżówki nr 25
Poziomo: podstęp, Kateria, Samsonowicz, opar, Zama, oset, kawa, atest, aga, rdost, Gojawczyńska, aneka, akt, kuria, Asam, Reid, Kain, Atma, stratosfera, traktor, adwokot.
Pionowo: piwo, Desz, prosta, kropka, rdza, Anna, Atoz, Czad, Patagonia, mezanizm, Strauss, Wronski, gacek, Kant, amator, troška, udar, kort, Issa, talk, agat.
Nagrodę wylosował: Dariusz Grzegorzka, 08-405 Gończyce, woj. śiedleckie.



ARCHIWUM MISTRZÓW ANEKDOTY

Podczas spotkania towarzyskiego do G. B. Shawa podszedł młody zarozumiały lord angielski i zjadliwie zapytał:

- Czy to prawda, że pana ojciec był krawcem?
- Prawda — odpowiedział znakomity dramaturg.
- To dlaczego i pan nie został krawcem?
- A czy pański ojciec był gentlemanem? — odpowiedział pytaniem Shaw.
- No, oczywiście!
- To dlaczego pan nim nie jest?

Pisarz Wiktor Hugo rzekł raz do znanej aktorki, Marii Dorval, wkrótce po poznaniu:

- Pani nie jest piękna, pani jest niebezpieczna!

Helena Modrzejewska podczas pobytu w USA została zaproszona do bogatego Amerykanina. Pani domu, chcąc zaimponować artystce, zaczęła rozmowę na temat biżuterii:

- Brylanty myję zawsze w czystej wodzie, rubiny kąpię w czerwonym winie, szmaragdy w koniaku, szafiry zaś odświeżam w mleku. A pani w czym myje swoje?
- Ja? — odparła aktorka. — Ja moje klejnoty po prostu wyrzucam, gdy się zabrudzą.

Mark Twain mawiał:

- Prawda jest naszym największym dobrem; widocznie dlatego obchodzimy się z nią tak oszczędnie.

Pewien gość odwiedzając pracownię rzeźbiarza pyta go:

- Mistrzu, w jaki sposób uzyskał pan tak wspaniałą figurę?
- Wyrzeźbiłem ją z marmurowego bloku.
- A skąd pan wiedział, że właśnie w tym bloku jest figura?

Wyszperał: Ryszard Dunia

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Dereski, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Piasecki, Waldemar Bielecki (kierownik działu technicznego) — Ewa Ojciek korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów ale zamówionych zastrzegając sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.
Wydawca: Robotnicze Spółdzielstwo Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 5, tel. 233-20.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-025 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/L.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 233-02, sekretarz redakcji 233-53, dział publicystyki i literacki 233-33.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-250 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztą i ekspresami — pod adresem redakcji.

Zam. 2304, 13.11.1983 r. 8-4

ROZMOWA Z PANEM X KTÓRY NIE WIE ILE MA PIENIĘDZY

— Ile pan ma?
— Czego nie? Lat? Milionów?
— No, tu pan nie jest oryginalny...
— To pan to zna? Fakt. Była to odzywka pewnego pana, jak już nieco przyszedł...
— Ile pan na lat, panie X?
— Trzydzieści trzy. Tyle co Chrystus jak go...
— A tych milionów?
— Nie wiem. Zupelnie szczerze to mówię. Już przedtem możemy mówić ile mam w obrocie, ale to też bez pewności. Jakiś bankier amerykański, chyba Morgan albo Rockefeller mówił że ten, kto zna dokładnie stan swego konta, wcale nie jest bogaty.
— Pan jest bogaty?
— Tak.
— Co pan ma?
— Mam wszystko.
— Co to znaczy?
— Mam wille...
— Za ile?
— Trudno powiedzieć. Proponowali mi w tym roku 21 milionów, ale pogoniłem frajerów. Projekt robiłem specjalnie na zamówienie u profesora w Warszawie; osiem pokoi, dwa tarasy, sala gimnastyczna i basenowa sauna. Meble głównie z Desy, boazerie modrzewiowe, łazienki w korku. Trochę w to włożyłem...
— Ile pan ma telewizorów?
— Kolorowe — trzy. W salonie kominkowym jest „Telefunken” zdalnie sterowany z magnetowidem JVC. W sypialni „Sony”, bo najlepiej się ogląda telewizję z łóżka. No i w kuchni mały „Philips”, dla tony, bo lubię oglądać przy gotowaniu, pieczeniu. W garażu stoi czarno-biała „Wela”, bo lubię poglądać jak dubie przywozie. W sumie — cztery telewizory.
— Wspomniał pan o wozie. Jaki?
— Który? To zależy który...
— A ma pan kilka?
— Ja mam mercedesa i golf, a żona ritmo.
— Słyszałem że tych mercedesów to chyba więcej...
— Oficjalnie nic podobnego.
— A nieoficjalnie?
— Żona widzi pan, pochodzi z wielodzietnej, ubogiej rodziny. Ma dwóch braci, zapalonych „ścigantów”, teściu też lubi pojeździć...
— I jeżdżą?
— Jeżdżą.
— Czym?
— No mercedesami...
— Pańskimi?
— No powiedzmy, teoretycznie, że moimi...
— Zarejestrowanymi na kogo?
— No, niech pan nie przesadza! Adresy i nazwiska mam podać?
— Cztery mercedesy, golf, ritmo. Ile to warte?
— To przecież można zobaczyć na giełdzie. Skromnie licząc merce po półtora „balona” golf za „balona”, ritmo za osiemset...
— $4 \times 15 = 60$. Do tego $1.0 + 0.8 = 1.8$. Razem 7.8 miliona złotych. Co pan ma jeszcze?
— Co pan taki niecierpliwy? Mam zakład pod Warszawą. Ojcu postawiłem szklarnię...
— Co pan robi w tym zakładzie?
— Ja? Nic. Pracownicy robią. Ogólnie — wyroby plastikowe.
— Iu ma pan tych pracowników?
— To mnie specjalnie nie interesuje. Chyba pięciu.
— Jak to?
— Od tych spraw jest dyrektor zakładu. On odpowiada za profil produkcji, zaopatrzenie, za zatrudnienie i — w zasadzie — za zbył. Ja się włączam tylko interwencyjnie. Kiedy trzeba nawiązać jakieś kontakty z organizacją zaopatrzenia w surowiec. Ale to nie jest zbyt częste. Dyrektor to

obrotny gość, menadżer. Magister inżynier.
— Jak pan płaci w swojej firmie?
— Tak żeby nikt nie narzekał i nie kombinował. Ale... za dobrą robotę. Dyrektor ma na przykład 50 tysięcy plus prowizję od wyników handlowych. Pracownicy na pewno nie mają mniej niż te 30—40 tysięcy. Dokładnie trudno mi powiedzieć, bo jest to sprawa dyrektora.
— Ile wynosi prowizja dyrektora?
— Różnie. Czasem osiąga tyle co pensja.
— Zaraz zaraz. A jak na to patrzeć kontrole? Macie przecież jakieś kontrole...
— Ależ to jasna sprawa! W tym roku było ich chyba trzy. Zastrzeżenia były głównie natury porządkowej. Żadnych finansowych. Księgi są w najlepszym porządku.
— Czy księgi różnią się od — nazwijmy to — życia?
— Proszę pana, nie powiem, że jak wszędzie, bo bym poobraził innych. Jeżeli podatek laduje się nam od obrotu to jasne, że nikomu nie zależy na jego zbyt dokładnym wykazywaniu. To samo dotyczy nabywców, czyli kupców. No i jak to się robi, to by pan się nauczył po trzech miesiącach prowadzenia własnego sklepu z czymkolwiek.
— Ile zysku przynosi pański zakład?
— Nie wiem. Płace miesięczne dla pracowników wynoszą 250—350 tysięcy. Koszt utrzymania zakładu ponad sto. Dochodzi oczywiście koszt surowca i związane z tym koszty jego pozyskania. Podatek. No powiedzmy że na czysto wyjdzie 200 tysięcy...
— Bez żartów. Do takiego zysku nie trzeba mieć zakładu. Wystarczy dobry punkt sprzedaży kwiatów.
— Może i trochę zaniżyłem. Ja tych pieniędzy naprawdę nie oglądam. Skoro się pan jednak upiera to załóżmy że jest to dwa razy tyle.
— Czyli rocznie 4.8 miliona czystego zysku. Mówił pan coś o szklarni?
— Szklarnia stoi na mego ojca i zarabia na sobie dopiero rok. Nie zaprzeczę, że licze na szybkie zwrócenie się włożonych w nią pieniędzy.
— Ile?
— Ponad pięć „balonów”.
— Co robi ojciec?
— No pracuje w szklarni...
— A przedtem?
— Miał kawałek ziemi.
— Był rolnikiem?
— Do pewnego czasu. Mieszkał w pobliżu dużego miasta, które się rozszerzało i ten kawałek ziemi znalazł się w końcu na terenie osiedla domów jednorodzinnych. Ojciec częściej sprzedawał pod działki budowlane, a pozostałe kawałki przekształcił w małe gospodarstwo ogrodnicze. Wczesną wiosną — nowaliki spod folii, potem szklata gruntowa, trochę kwiatów, no i chryzantemy na Złotychki.
— Na ile pan ocenia gospodarstwo ojca?
— Teraz ma swoją wartość. Willa, szklarnia, kawałek ziemi. No jakieś 20—25 „balonów”.
— Ma pan jakieś rodzeństwo?
— Brat i siostra. Oboje za granicą.
— Jakże ma pan wykształcenie?
— Liceum ogólnokształcące i trzy semestry studiów na prawie.
— Potem się studia znudziły czy były za trudne?
— Jest pan złośliwy. Mogę pokazać indeks, średnia za te trzy semestry miałem chyba 3.6 albo 3.8. To nie jest źle, jak na te studia. Po prostu wzięłem „dzikankę” bo była taka moda. No i tak na „dzikankę” zarobiłem swój pierwszy „balon”. To już nie miałem wątpliwości, co mam robić w życiu.

— Jak pan zarobił ten pierwszy milion? Ile pan miał wtedy lat?
— Urodziłem się w 1950 roku, a „balona” zrobiłem w 1973. Jak zrobiłem? Dopomogli mi studenci krajów Trzeciego Świata studiujący u nas.
— Rozumiem, że handlował pan dolarami.
— To już pan powiedział, a nie ja.
— Po ile „chodził” wtedy dolar?
— To akurat mogę powiedzieć. Sprzedaż 90—105, kupno 75—90.
— Czyli na sztuce wychodziło około piętnastu złotych?
— Tak wychodziło.
— Żeby zarobić milion trzeba było obrócić 65—70 tysiącami „złotych”. Pan obrócił przez rok takim szmałem?
— Poproszę o inny zestaw pytań. Na marginesie chciałbym ja pana zaprosić. Pamięta pan wpadkę zawodników „Legii”?
— Tak. Za wywiezione nie całkiem legalnie dolary sprowadzili do kraju złoto. Podobno to się wtedy bardzo opłacało.
— Dziękuję. Poprawna odpowiedź. Cztery plus.
— Dłaczego tylko cztery plus.
— Bo to się u nas zawsze opłacało. Nawet dziś. Złoto ma u nas zupełnie irracjonalną wartość. Dochodzi dziś do 10 tysięcy za gram a za granicą to się obraca wokół 8.50 do 10 dolarów i to, proszę pana za „osiemnastkę” (18 karatów).
— Rozumiem że robił pan wtedy także „w złocie”...
— To już pan powiedział.
— Co pan zrobił z tym milionem?
— A jak pan myśli? W co się opłacało inwestować?
— W dolary?
— Tym razem dwójka. W ziemię prosię pana. Nabyłem dwie działki budowlane. Zostało też na „przechodzonego” dużego fiata którego postawiłem na taryfę. Takie były początki...
— Potem — jak słyszałem — miał pan różne zakładyki?
— Nie. Potem to ja zrobiłem uprawienia rolnicze i z zakresu mechaniki pojazdowej. Bardzo mi się przydały.
— Nie wątpię. Podobno okresem szczególnego prosperity był dla pana czas masowych wyjazdów na Zachód?
— No to jest pewne przyspieszenie z pańskiej strony... Wyjazdy zaczęły się po wprowadzeniu rachunków walutowych a tak na dobre — w 1979 roku. Ja już wtedy byłem ustabilizowany. Kończyłem budowę domu, miałem żonę, zakład samochodowy...

— Słyszał pan określenie „Mister Golf”?
— Tak.
— O kim to?
— O mnie.
— Podobno sprowadził pan do kraju kilkadziesiąt tych samochodów?
— To już pan mówi. Ja mogę powiedzieć że w handlu trzeba wykorzystywać koniunkturę.
— No ale jak pan przywoził tyle samochodów bez zwracania uwagi?
— Proszę pana bez przerwy tylko o mnie... Pomówmy teoretycznie o jakimś panu X. Załóżmy, że jest on na przykład w Belgii, w roku założymy 30-ty. Spotyka on tam innego Polaka, który ma ochotę nieść golfa, ale nie ma tyle gotówki. Pan X wchodzi z nim w układ. Nabywa za swoje golfa, który zostaje wysłany do kraju statkiem, na nazwisko członka rodziny tego Polaka. Rozliczenie następuje w kraju.
— Widzę luki. A jakby ów Polak nie chciał się z panem X w kraju rozliczyć albo nawet w ogóle widzieć?
— Dobrze pomyślane. W Belgii przed transakcją sporządza się u notariusza oświadczenie że Polaka okradli a dobry rodak pan X pożyczyl mu tyle a tyle. Co jeszcze?
— Nic. Również w stanie wojennym pan nie narzekał?
— Na co miałbym narzekać?
— Na interesy.
— Nieprawda.
— Czy to prawda że w zimie 1981/82 zorganizował pan „most jabłkowy” z Powiśla na Wybrzeże zarabiając na różnicy cen?
— Proszę pana handel polega właśnie na zarabianiu na różnicy cen; zbytu towaru i jego nabycia.
— Ile różnicy było na cenie jabłek?
— Około 10—15 złotych, jeśli idzie o hurt.
— Czyli na tonie 10—15 tysięcy. Na dziesięciu tonach bo tyle miał pan jednorazowo przerzucić wychodzi 100—150 tysięcy. Pomnóżmy to przez liczbę kursów...
— Proszę pana znów się pan podnieca. Skąd pan wie, że ja w ogóle jakiś „most” zorganizowałem?
— A numer z dolarami w grudniu 1981 roku?
— Znów jakieś plotki! Istotnie sprzedawałem pewną ilość bonów PeKaO S.A. w końcu 1981 roku co jest u nas dozwolone.
— Podobno było to 20 tysięcy po 900 złotych...
— A jak ja bym panu powiedział że znam człowieka w Warszawie który porbił się oł miliona bonów? Po tysiąc? Uwierzyliby pan?
— No dobrze. Powiedzmy, że pański majątek da się oszacować na 100 milionów zło-



Rys. Sz. Sadurski

tych, iu takich ludzi jest w Polsce oprócz pana!
— Więcej niż pan myśli. Ja znam około czterdziestu... bogatszych ode mnie.
— Czy sądzi pan, że mamy w kraju miliardery?
— Zapewne tak.
— Niech mi pan powie, nie boi się pan, że kiedyś ktoś się do pana dobrać może?
— Jest pan niecierpliwy. Żeby coś kornus zrobić, należy mu udowodnić, że naruszył prawo. Mnie również panu i każdemu innemu. Bogactwo nie jest przestępstwem, jeśli nie udowodni się, że zostało zdobyte w drodze przestępstwa. Ja płacę podatki, w tym także wyrownawcze, jeśli inspektorzy Urzędu Skarbowego dojdą do takiego wniosku. Zawsze jednak się od podatku wyrownawczego odwołuję. Czasami skutecznie. Zresztą mam od tego prawników...
— Kogo?
— Prawników. Dwóch świetnych specjalistów od prawa finansowego.
— Płaci im pan pensję?
— Naturalnie.
— Ile?
— Wystarczająco dużo, aby byli dyspozycyjni w każdej chwili.
— Czy uważa pan za normalne w naszym kraju że ludzie tacy jak pan, dochodzą do fortun podczas gdy wielu myśli jak wiazać koniec z końcem?
— Nie byłbym takim radykałem. Ja bym zapytał raczej o system zapobiegający temu zjawisku. Czy na przykład jestem odpowiedzialny za realny kurs dolara w kraju? Czy to jest normalne że jeśli sprzedam dolara za 700 złotych to odpowiadam za przestępstwo dewizowe a jak sprzedam bon to już nie?
— Czy jest pan szczęśliwy?
— Tak. Mam wszystko. Dom, żonę, pieniądze. Mogę jechać na każdą wycieczkę. Nawet do Chin za te 850 dolarów i 124 tysiące.
— Czy bogactwo daje panu poczucie bezpieczeństwa?
— Ja bym powiedział, poczucie innych możliwości?
— Większych?
— To oczywiście.
— Czy jest pan przygotowany na jakieś niespodziewane zwroty w pańskiej sytuacji? Upaństwowienie sektora prywatnego. Podatek od standardu życiowego. Zabłokowanie oszczędności. Aresztowanie i skazanie. Pożar willi. Itd...
— Podaje pan dość mało prawdopodobne zdarzenia. Ale moja odpowiedź brzmi tak. Jestem przygotowany na każdą z wymienionych sytuacji. No może poza przedostatnią. Wystarczy mi do końca życia a także moim dzieciom i wnukom.
— Czy z pańskimi talentami do interesów chciałby pan spróbować kariery gdzieś na Zachodzie?
— Uchowaj Boże. Najlepiej czuję się w kraju.
— Dziękuję za rozmowę. Jeszcze tylko jedno pytanie: Nie obawia się pan że może zrobić z niej użytek przeciwko panu?
— Nie może pan z niej zrobić żadnego użytku. Przed naszym spotkaniem radziłem się moich adwokatów. Ponadto nagrałem ją na magnetofon, co zwalnia pana z obowiązku autoryzacji. Poza tym ma to i ten walor że zabezpiecza mnie przed podobnym pomysłem (nagrywanie) z pańskiej strony.
— Rozmowa jest skończona. Pan X bierze się do studiowania. Proponuję podwzrost cen żywności opublikowanych w „Tribunie”.
— Nie...
Waldemar Piasecki